PION

TYGODNIK LITERACKO-SPOŁECZNY

ROK IV * WARSZAWA * SOBOTA — CENA 50 GR. — 13 CZERWCA 1936 R. * NUMER 24 (141)

PRZODOWNICY

Nieraz wielkie przemiany, przewroty, sięgające niezmiernie głęboko w układ stosunków społecznych nadchodzą zupełnie niepostrzeżenie. Myśli wszystkich zajęte są jakiemiś światowemi wydarzeniami o niesłychanej wadze i oto gdzieś na pośledniem miejscu w dziennikach — nieduża wzmianka — wiadomość — myślałbyś — niepozorna. Czytelnik pomija ją, przypuszczając z nagłówka, że to coś nudnego. A potem szereg zarządzeń drobnych, powolnych. Widzą je tylko ci, co w danym dziale pracują. I nikt nie dostrzegł, że nowa karta dziejów została odwrócona.

Tak właśnie było niedawno. W gospodarczym dziale naszych dzienników ogłoszono treść nowej ustawy mleczarskiej. Co to? Coś o zdrowotności przedmiotów spożycia? Aha! Odtąd na przetwórstwo mleka trzeba mieć osobne pozwolenie. Może to coś z tego... jak się tam nazywa?... etatyzmu? Może..

Potem był jakiś huczek, były jakieś spory — niesłychanie zabawne dla wtajemniczonych, gdyż najzacieklej zwalczały ustawę, skierowaną przeciw pachciarzom, którymi nieomal w 100% są Żydzi, pisma antysemickie, nacjonalistyczne. Spory dotyczyły tego, czy ustawa istotnie zabezpiecza zdrowotność wyrobów mleczarskich, czy nie podnosi ich ceny. W tym rozgwarze o rzeczy zupełnie uboczne zaginęła treść istotna zagadnienia. A ta treść była zupełnie przełomowej doniosłości. Ta treść kładła podwaliny pod zupełnie nową budowę gospodarczo-społeczną rolnictwa w Rzeczypospolitej. I więcej: treść tej ustawy nadała kierunek nowy całemu rozwojowi naszego życia — kierunek różny od znanych dzisiaj w Europie.

Więc niechże nam wolno będzie przez chwilę zatrzymać na tem uwagę.

*

Każdy z nas słyszy po kilka razy dziennie o wywozie, równowadze płatniczej czy wymiennej, konieczności posiadania obcego pieniądza. Każdy wie, że sprawa dostarczenia zagranicy wyrobów polskich stanowi ciągłą troskę naszego gospodarstwa. Wśród tych wyrobów, oczywiście, szczególną wagę posiadają płody rolnicze — no i, między niemi, masło. I również nie jest dla nikogo nowością, że wywozić można tylko wyroby pierwszej jakości, wyrównane. Polska posiada niemało nabiału — krowy nasze dają około 9 miljardów litrów mleka rocznie. Z tego jednak tylko 800 miljonów litrów udoju mają dwory — reszta przypada drobnemu rolnictwu. Przemysł przetwórczo-mleczarski był w zaniedbaniu. Miasta nieduże, spożywca niewybredny. Przyjmowano tam masło „osełkowe“, a szczególnem powodzeniem cieszyło się masło od „bab“, takie „oryginalne“, domowe. Ciemnota gospodyń sprawiała, że pomijano, czy przypadkiem w „domu“, gdzie wyrabiano to masło niema syfilityka, gruźlika, chorego na czerwonkę lub tyfus... To wszystko było dobre dla miasta polskiego. Zagranicę iść z tem nie było po co.

Taki stan zastała spółdzielczość mleczarska. I oto wśród tej puszczy rozpoczęła się praca odnowienia, naprawy. Maszynowy przerób, pasteuryzowanie surowca, zakwasy sztucznie w pracowniach wyhodowane, opakowania oznaczające rodzaj wytworu — wszystko podług najnowszych zdobyczy wiedzy. Lata pracy — lata wysiłków. Powstały doskonale prowadzone zakłady, wychowano znakomitych zawodowców. Skutek: — polskie masło mogło pójść w świat, dotarło do tak wybrednego spożywcy jak londyński. W wywozie naszym masło spółdzielcze stanowi 92%.

Przesilenie gospodarcze przecież zagroziło i temu działowi naszego przemysłu. Zwalczać go poczęła zaciekle „inicjatywa prywatna“. Rzecz jasna, że bez przestrzegania zasad zdrowotności, pracując narzędziami niewyjawianemi, w izbach piwnicznych, wśród brudu można liczyć taniej. Lichwiarz nieraz zmuszał dłużnika do spłacania mu odsetek mlekiem. Oszust zakładał mleczarenkę, obiecując dostawcom wysokie ceny, a po „zarobieniu“ paru setek urządzał „plajtę“. Wszystkie te sposoby odciągały rolników od mleczarni spółdzielczej, podnosiły koszty jej prowadzenia, podrażały dobre masło, wprowadzały zamęt do hodowli, do całej gospodarki rolnej — wreszcie mogły doprowadzić do uniemożliwienia całkowicie wywozu.

Rząd wtedy zapobiegł niebezpieczeństwu przez ustawę określającą w jakich warunkach mleko ma być przerabiane, jakim warunkom muszą odpowiadać mleczarnie i w jaki sposób je zakładać wolno. Według ustawy tej całą sieć mleczarń w kraju ustalają Izby rolnicze. Tam gdzie jest ich nadmiar — należy sprzęgać mniejsze z większemi. Ustawa nie czyni różnicy pomiędzy mleczarstwem prywatnem i spółdzielczem — ale ponieważ cała sieć tego rodzaju zakładów jest w rękach spółdzielczości — więc całość tego przemysłu pozostaje w jej ręce. Zostaną tylko nieliczne placówki niektórym większym gminom miejskim. W ten sposób cały wielki dział gospodarstwa narodowego został uspołeczniony — uspołeczniony w całem tego słowa znaczeniu, gdyż przeszedł w ręce zrzeszeń dobrowolnych, związków spółpracy, został wyzwolony z pęt kapitału, i — zabezpieczony przed upaństwowieniem. A nadzór nad sprawnem działaniem tego społecznego zarządu pozostaje w rękach samorządu gospodarczego. Gdy na zachodzie i na wschodzie wszystko idzie ku upaństwowieniu, „etatyzacja“ święci najwalniejsze zwycięstwa, gdy zagadnienie uspołecznienia zdaje się być dla samych jego zwolenników otoczone mgławicą niejasności, czemś nieosiągalnem nieomal — gospodarka polska przełamuje splot nieporozumień, urzeczywistnia jedno z najbardziej zachwycających dążeń reformatorów społecznych.

*

Wydarzenie to uciekło z pod naszych oczu. Dokonało się niepostrzeżenie dla tych, co przejmują obecnie tę dziedzinę życia, niepostrzeżenie dla szerszych warstw społeczeństwa — niepostrzeżenie może nawet dla tych, co układali omawianą ustawę. Spółdzielczość stała się organem wyłącznym nieomal życia narodowego w pewnej dziedzinie.

Zagadnienia tego nie można wyczerpać na tych łamach. Nie chodzi o to w tej chwili. Wskazaliśmy na doniosłość zjawiska jedynie na dowód, że w tej chwili ruch spółdzielczy już nie jest tylko dziedziną wysileń marzycieli, że jest czemś więcej nawet niż zrzeszaniem samopomocowem ludzi pracy — poczyna wytwarzać bowiem już ramy spółżycia i spółdziałania, ramy przyjęte i ustalone przez prawo obowiązujące. I tu jest zamknięcie zwycięskie minionego okresu walki o jego uprawnienia. Otwiera się drugi okres urzeczywistniania, okres pracy nad rozszerzeniem zasad i wytycznych dla tworzenia wymarzonej przez wielkich pionierów spółdzielczości organizacji życia ludzkiego.

Otóż w takich chwilach przystoi zatrzymać się trochę, odwrócić oko od pędzącego wiru życia, co jest tak wartki, że najdonioślejsze wypadki zlewają się w nim w jedną masę pędzącą, i spojrzeć wstecz, na twórców owego ruchu, który wychynął z pod powierzchni i poczyna ujmować władzę.

*

Nie będziemy sięgali w tej chwili w przeszłość odległą. Nie będziemy wspominali o utopji Fouriera, o budownictwie Owena. Pominiemy czcigodną postać Staszica, ojca naszych prac społecznych i zapaleńca Czyńskiego, który w pierwszych kooperatywach francuskich brał udział. Myślimy o czasach bliższych, czasach, które tworzyły zręby zrzeszeń dziś czynnych, dziś pracujących. I jeżeli już o mleku poczęliśmy mówić, to na wstępie wypadnie wymienić twórcę spółdzielczości przetwórczej, którego organizacja pierwsza sięgnęła po panowanie, a który dziś staje przed nami z tego powodu jako wódz, co osiągnął zwycięstwo i pierwszy do tryumfu ma prawo. To Zygmunt Chmielewski. Pracę jego nie tak dawno omawialiśmy na tych łamach. Wtedy uszły naszej uwagi przedziwne życia koleje tego człowieka, co od najwcześniejszej młodości poczyna wżerać się w pracę społeczną z pasją, z uporem, z wytrwałością poprostu nadludzką. Młody inżynier idzie do samego warsztatu. W próbnych zakładach czyni doświadczenia, przenika technikę przetwórstwa, by ją zaszczepić społeczeństwu rolniczemu. Przy beczce z masłem zastał go już głośny podówczas Franciszek Stefczyk i otwiera mu pole do szerszej, organizacyjnej roboty już jako zawodowca, który niema sobie równego. Zygmunt Chmielewski odegrał w życiu polskiem dużą rolę. To burmistrz Warszawy, to potem kierownik Ministerstwa Rolnictwa, to założyciel Centralnej Kasy Spółek Rolniczych, to wieloletni Prezes Zjednoczenia związków Spółdzielni Rolniczych, to dyrektor szkoły spółdzielczej w Nałęczowie — to człowiek, którego spotykaliśmy przy różnych warsztatach zawsze niezmordowany, zawsze pełen twórczego zapału — zawsze zapatrzony w ideał spółdziałania ludzi, powszechnego braterstwa. Jeden z tych, co o pokoju nie mówią, lecz pokój czynią i na straży jego z mieczem stają.

Chmielewskiego książka wyszła ubiegłej jesieni. Autor, świadom roli organizacji, którą tworzył, stanął i spojrzał za siebie i z mgły zapomnienia wydobywał tych, co jego ideologję kształcili: Bohusza-Potockiego, Edwarda Abramowskiego, Zygmunta Herynga. Głębokich myślicieli, których pamięć odświeżyć wypada w dniu spółdzielczego święta.

*

Odświeżyć powiadamy, bo postacie ich przesłonili działacze praktyczni. Ów Stefczyk, zażywny pan, urzędnik galicyjskiego wydziału krajowego, ze szpakowatym, zakręconym w ślimaczek wąsem, rzucający mądre, przenikliwe spojrzenia z pod binokli. Umarł lat temu dwanaście. I wypisano mu tablicę, w której wyszczególniono instytucje założone, urzędy piastowane, zaszczyty i odznaczenia. A o Stefczyku jedno można powiedzieć: wyzwolił wieś galicyjską z pęt lichwy. Tytaniczną, niezmordowaną pracą doprowadził do tego, że chłop, ciemny chłop galicyjski począł się organizować i krwawo zapracowanym groszem, składanym w kasach po chałupach rozsianych, budował niezależność gospodarczą. Gdzieś po wsiach ukraińskich świętym go nazywano. A miarą przywiązania, na jakie sobie zarobił, jest bodaj to, że cały szereg spółdzielni ukraińskich nie chciał w żaden sposób zerwać więzi z ośrodkiem, organizacyjnym, z którym wiązała go postać Franciszka Stefczyka.

Jakiś potężny romantyzm bił z tego człowieka, romantyzm najpraktyczniejszego, najpowszedniejszego czynu, romantyzm upartej i zażartej woli, romantyzm wiary w potęgę ludzkiej solidarności. I kiedy w przyszłości będzie się oceniało jego działalność — to bodaj że on właśnie, on tak daleki od polityki, on, człowiek najzupełniej bezpartyjny, — on

CIENIU MÓJ...

Cieniu mój, stąpający wiernie za krokami,
Wzrok twój przenikał mrozem przerażone ciało,
I myślałem: ucieknę między godzinami
Przed nieodstępną strażą, strażą twą zuchwalą.

Myślałem: choć na chwilę zerwę się jak z smyczy
Z bliskości twej — radosny jak pies uwolniony
I wbiegnę w parów czasu. I zaznam słodyczy
Godzin zimną źrenicą twoją niezmąconych.

Jak w paprociach ukryję się, jak w gęstej trawie,
Węsząc dzień głodem zmysłów, wszechświata niesytych,
I będę wierzył: los mój jak zieleń łaskawy,
A imię mego losu? Imię jest zachwytem.

Tak uciekałem — stróżu mój — przed twoją strażą
Z sercem lękliwem tchórza, z przerażoną twarzą.

Cieniu mój, towarzyszu wierny moich kroków,
Wybacz podłą ucieczkę. Prawdy twej nie znalem,
Oto słucham praw twoich, zakonie surowy,
Duszą jak noc pogodną, uciszonem ciałem.

Oczy twoje, zwrócone na gesty mych dłoni,
Już nie płoszą mych myśli, krwi w żyłach nie mrożą.
Znam prawdę twą: kto poddał się prawom twych źrenic,
Tego dni ani noce klęską nie zatrwożą.

Zakonie mój, zakonie mędrców i żołnierzy,
Oto czuję: Tyś dom mój, przyjaciel i zbroja,
Cieniu mój najwierniejszy,
Śmierci moja!

WOJCIECH BĄK

będzie nosił nazwę jednego z twórców ruchu ludowego. Stefczyk bowiem uczył ten lud wspólności interesów ludzi pracy.

*

A od Wielkopolski wznoszą się dwie niezmiernie ciekawe postacie księży: Szamarzewskiego i Wawrzyniaka. Pierwszy — powstaniec z r. 1863, żołnierz o temperamencie niesłychanym, o energji bojowej. Drugi, jego uczeń, milczący, zamknięty w sobie. Pierwszy demokrata i rewolucjonista nieomal. Drugi ostrożny zachowawca, zdecydowany wróg prądów skrajnych. Spółdzielczość, którą stworzyli, to organizacja stanu średniego — daleka od proletarjatu — nie swojska i dla drobnego rolnika. Oni byli przekonani, że są powołani do urabiania ludu wedle własnych pomysłów i wzorów. Pragnęli nie tyle spółdzielczości, co zrzeszenia kapitału do walki o własność, o stan posiadania polski w Poznańskiem. Tej zasadniczej myśli podporządkowywali wszystko, aż do zasad spółdzielczych włącznie. Stworzyli też ten kapitał. Zebrali go. Stali z nim na straży dóbr narodowych i zasługi ich na tem polu są niepożyte. Dziś formy spółdzielczości przyjęte przez nich straciły swą wartość i zanim placówki wielkopolskie zaczną odgrywać w naszem życiu większą rolę wychowawczą, wypadnie poddać je gruntownej przebudowie i statutowej i ideowej — zasadniczo bowiem przystosowane one są bardziej do oporu niż do tworzenia.

*

Ale zupełnie inaczej wypadnie nam ocenić działalność założycieli innej grupy — spożywczej. Na ich czele znajdziemy przedewszystkiem postać Romualda Mielczarskiego. Dla jej ideowości i poświęcenia najwznioślejsze słowa są za słabe. Człowiek ten miał w pełni prawo powiedzieć, że sam siebie tworzył. Niezależność zawsze i we wszystkiem, nieubłagana surowość dla siebie — zapał, który nie miał nic wspólnego z fanatyzmem — siła przekonania — odległa od wszelkiego dogmatyzmu czyniła z niego niedościgniony typ działacza praktycznego, patrzącego trzeźwo w rzeczywistość, oceniającego najściślej każdą możliwość, a jednocześnie w kompromisie nie schodzącego nigdy z zasadniczej wytycznej. Obok niego stanął Stanisław Wojciechowski, sumienny, twardy—badacz bezstronny, nauczyciel wymagający, bezwzględny w dążeniu do celu, umiejący poświęcić dlań wszystko, a przedewszystkiem siebie. Ludzie ci, zanim poszli do pracy, podporządkowali się sami bezwzględnie dyscyplinie spółdzielczej, zważyli jej możliwości, zmierzyli wytrzymałość człowieka.

Dziś „Społem" przez nich dźwignięte obchodzi 25-letni jubileusz swej pracy. Półtora tysiąca placówek — blisko czterysta tysięcy członków. To sklepy, młyny, piekarnie, fabryki mydeł (istotnie najlepszych), składy w Gdyni, fabryki konserw rybnych, bank — a przedewszystkiem imponujący rozrost — rozrost, znaczący swe postępy już nie w ciągu miesięcy, tygodni, dni — lecz godzinami.

Zmordowany przez kryzys ruch w mieście, który spauperyzował robotnika, odebrał możność organizowania sobie życia setkom tysięcy bezrobotnych, miljonom członków ich rodzin, przerzucił się na wieś — idzie z gminy do gminy, niszcząc wyzysk, wymiatając pokątne szynczki, zwane sklepikami spożywczemi, stwarzając ośrodki kultury, uczciwości, oświaty. A rozrastając się, absorbuje coraz nowe siły młodzieży, która musi znaleźć sobie miejsce w pracy organizacyjnej, która to miejsce znajduje w spółdzielczości, a wytwarzając dobrobyt, nabiera dumy i samowiedzy, nabiera tężyzny — przeistacza się moralnie — zyskuje cel wielki ziszczenia przebudowy społecznej drogą pracy twórczej.

*

I nie dziw, że właśnie teraz odżywają w pamięci dwaj filozofowie społeczni, których imiona w ostatnich czasach już tylko echowo odbijały się we wspomnieniach ludzi ubiegłych lat dziesiątków. Nazwiska Bohusza-Potockiego i Edwarda Abramowskiego.

Wczoraj byli to wielcy budziciele — szermierze sprawiedliwości społecznej. J. K. Potocki — myśliciel, a jednocześnie jeden z najświetniejszych pisarzy naszych — pogromca liberalizmu, czy laissez-fairyzmu—umysł ścisły i jasny, co na miejsce współzawodnictwa stawiał spółdziałanie, wywodził je z niesłychanym erudycji nakładem aż z biologji —rzucał potężne widoki temu spółdziałaniu, a w swoich książkach jest tak aktualny, tak świeży i żywy, że nieraz trzeba wysiłkiem woli poprostu uświadomić sobie, że działalność jego przypada na okres miniony, na czasy, gdy trzeba było obalać olbrzyma socjologji biologicznej Spencera!

I ten drugi, Abramowski, naprawdę genjalny, uderzający w swej wszechstronności. Z pierwiastków odnajdywanych w duszy ludzkiej budujący wspaniały, niebotyczny gmach „Rzeczypospolitej spółdzielczej". Ludzkość nie miała tak wspaniałej wizji przyszłości, wizji wywiedzionej z wewnętrznych popędów, z wewnętrznych właściwości ludzkich. Abramowski już ma monografję swoją pióra prof. Krzeczkowskiego. J. K. Potocki czeka jeszcze na wydanie swych dzieł, które dziś, dawno wyczerpane, należą do rzadkości bibliograficznych nieomal, których ogromna część pozostała rozproszona po czasopismach.

Ku nim zwraca się myśl każdego, kto obserwuje ruch spółdzielczy dzisiaj. Ku tym niesłychanego męstwa umysłom, co spojrzeli w nadchodzące lata poprzez kataklizm wojny, poprzez zamęty rewolucyj i kreślili drogi w przyszłość wielką i wspaniałą — i dróg ich nie zatarły wstrząsy dziejowe. I miną lat dziesiątki — a oni jeszcze będą na przedzie.

Przypomnieć ich społeczeństwu polskiemu to nie jest sprawa wdzięczności — to wymaganie zupełnie praktyczne. Działacz musi sprawdzić nieraz, co z obecnej rzeczywistości można było przewidzieć, co niespodziewanego przez przeszłość narosło — tak urabia się wizja tego, co będzie, być musi, co ma być zdobyte, co musi być ominięte.

*

Wypadło nam mówić o ludziach, gdy poczęliśmy mówić o spółdzielczości. I nie jest to przypadek. Spółdzielczość — to nie oderwany człowiek — to właśnie ludzie. Niesie ona „moralność ula" z jego hasłem: „jeden za wszystkich — wszyscy za jednego". Tylko ul zrealizowany przez ludzkość nie gubi indywidualności i nie kładzie tamy różnicowaniu pracy, potrzeby, myśli, wiedzy, sztuki — wierzeń — twórczości. I stąd płynie wartość człowieka-jednostki w ruchu spółdzielczym. Żadnej z nich nie można pominąć, jeśli się o całości chce mieć wyobrażenie.

ADAM UZIEMBŁO

PODZIAŁ HISTORJI LITERATURY NA OKRESY

Księga zbiorowa ku czci Ignacego Chrzanowskiego[1], która zapoczątkowuje nową serję tak dobrze znanej każdemu historykowi literatury i krytykowi kolekcji rozpraw napisanych przez uczniów zasłużonego profesora, wyróżnia się bardzo z pomiędzy licznych podobnych „uroczystościowych" wydawnictw. To nie zbiór „biletów wizytowych" złożonych z okazji jubileuszu w formie przypadkowych „darów z łaski" z różnych warsztatów naukowych; uczniowie prof. Chrzanowskiego chcieli naprawdę godnie sprezentować światu jego szkołę i wzięli udział w księdze pracami jak najbardziej, w stosunku do ich szczupłych z konieczności wymiarów, ważkiemi i wykończonemi. Więc też nietylko Wacław Borowy dał tu jeden ze swoich wspaniale subtelnych i pełnych artystycznego życia czysto literackich portretów (Kniaźnina p. t. *W Cypryjskim powiecie*), ale i rzadziej uczestniczący w badaniach Karol Krzewski ogłosił studjum z dziejów umiłowanej epoki „pozytywizmu", wyjaśniając genezę i prawomocność tej nazwy w historji literatury polskiej (*Zarys literatury P. Chmielowskiego*). Nie mam zresztą zamiaru i za trudno byłoby mi wyliczać i charakteryzować wszystkie ważne a często porywająco ciekawe prace (do których należy rzecz tak sucha z pozoru jak *Wieczność w notatniku*[2], opis rękopisów *Księgi Ubogich;* pod piórem Leona Płoszewskiego stał się on nietylko wyczerpującą analizą procesu twórczego Kasprowicza, ale wprost jedną z podstaw przyszłych umiejętnych studjów z zakresu poetyki historycznej) — dwie z nich jednak obeszły mnie bliżej ze względów, że tak powiem, osobistych.

Przed siedmiu mianowicie laty wygłosiłem przed pewnem uczonem gronem (dla uniknięcia wszelkich nieporozumień zaznaczam, że Stanisław Cywiński nie był tam obecny i wogóle nie jest możliwe, żeby jakiekolwiek echa go stamtąd doszły) referat o podziałach historji literatury, w szczególności polskiej, na okresy. Zacząłem od uzasadnienia wagi tego zagadnienia, przeciwstawiając się jego lekceważeniu przez tych historyków literatury, którzy poprzestają na mechanicznem ustawieniu słupów kilometrowych ze stuletniemi odstępami na dziejowej drodze, lub podporządkowują się machinalnie jakimś popularnym podziałom historji politycznej (dynastje, panowania, rewolucje i t. d.). Twierdziłem, że podział „umiejętny" winien wypływać z poglądu na konkretny przebieg danego procesu, zbadanego z uwzględnieniem najdalszych związków genetycznych; że jest ubocznym rezultatem i manifestacją syntezy historycznej; że nawet zanim do niej dojdzie, o podjęciu podziału decydują potrzeby praktyczne: udostępnienie materjału przez jego przejrzyste ugrupowanie, choćby się miało narazić na zarzut klasyfikowania zjawisk niedostatecznie poznanych; lecz że ryzykując podział, obierając jego podstawę, stosując pewne kryterjum do zjawisk historji literatury, odrazu wdzieramy się w głąb jej zagadnień; nietrafny wybór, niekonsekwencje, mszczą się gwałtownem rozrywaniem pewnych kompleksów zjawisk, zawartych w przybliżonych choćby tylko granicach, grupujących się koło faktów najpamiętniejszych i najznamienniejszych. „Przybliżenie" jest nieodłączne od wszystkich dyscyplin humanistycznych, które nie są matematyką, i wynika z bujności niepodległych „cyrklom i miarom" zjawisk, które są ich materjałem; jeśli zaś chodzi o znachodzenie zjawisk sprzecznych z ogólną charakterystyką danego okresu — jest to przetrwanie prądów w tym momencie anachronicznych lub podziemne kiełkowanie nowych, tłumaczących dalszą ewolucję literatury.

Powoływałem się w tej sprawie na zdanie historyków, podkreślając, że jeśli historja literatury polskiej korzysta z tradycyjnych zewnętrznych dat historji politycznej, popełnia nie tylko błąd, ale i nielojalność w stosunku do historji ogólnej, która oczekuje od poszczególnych dyscyplin historycznych pomocy w tym względzie, ukazania zbieżności procesów pozornie niezależnych, aby oprzeć historję polityczną o dzieje cywilizacji w najszerszem ujęciu. Dlatego nie powinno się gardzić, mimo jej jednostronności, metodą „formalistów", „dialektyką procesu historyczno-literackiego": hegemonja jednej „szkoły" poetyckiej trwa tak długo, aż z rozpowszechnieniem uczucia zwykłości danego zespołu środków ekspresji z ich „zautomatyzowaniem" w recepcji czytelniczej, powstaje potrzeba „uniezwyklenia" zasobu form i chwytów, technicznych i treściowych, konieczność wysunięcia nowych, odchylenia kontrastowego od starych kanonów, by wyrwać z automatyzmu naszą percepcję „formy" literackiej. Może się to wydawać zbyt wąskie i nazbyt wielką separacją literatury od całokształtu sztuki, tem bardziej kultury, jako wszechstronnej manifestacji ducha ludzkiego. Toteż nawet blisko formalizmu stojący, ale obcy jego dogmatyzmowi badacze, jak Žirmunski, opierają się na pojęciu jedności stylu epok, wynikającej z paralelizmu zmian zachodzących w dziedzinie estetyki, moralności, filozofji, a również w ich funkcjonalnych refleksach w życiu społecznem: jednolitość panujących „dążności życiowych", „światopoglądu", „odczucia życia".

Broniłem się jednak od posądzenia, że w proponowanych podziałach chcę tylko zastosować międzynarodowe etykietki w rodzaju: renesans, barok, romantyzm. Podkreślałem swoistość zmian „stylów" na gruncie danego narodu, konieczność badania ewolucji literackiej przedewszystkiem w ramach danej literatury narodowej. Specjalnie na gruncie polskim wydały mi się możliwe do wyróżnienia epoki łatwiejszej, prawie mechanicznej recepcji wpływów obcych, przedzielane epokami korzystania z własnych zasobów, natężenia rodzimości, twórczości nie oglądającej się na wzory i ewentualną recepcję w Europie. Zmiany pod tym względem mogą zachodzić niewspółcześnie ze zmianami prądów literackich (jako przykłady pierwszego stosunku do Europy — klasycyzm i romantyzm przed powstaniem listopadowem lub pozytywizm i Młoda Polska do pierwszych lat XX w. włącznie; przykłady drugiego — romantyzm po powstaniu i Młoda Polska w czasie hegemonji Wyspiańskiego).

Liczne szkopuły i trudności zastosowania każdego systemu, zrażające historyków literatury do zajęcia się sprawą podziałów, powstają dopiero przy rozgraniczeniu drobniejszych okresów — „rozdziałów" lecz nie „tomów". Toteż nie wchodząc w mym referacie w szczegółowy podział dziejów literatury polskiej, przeciwstawiłem się stanowczo tylko tradycyjnemu odcinaniu literatury staropolskiej od nowożytnej datą 1795, uważając za literaturę całkowicie „nowożytną" z naszego dzisiejszego punktu widzenia już literaturę Stanisławowską, a to ze względów m. inn. językowych, wspólnego z nami poglądu na specyficzność formy literackiej, rozwoju w niej wszystkich gatunków, pomijając już drobniejsze sprawy (np. wersyfikacji), lub mniej wchodzące w zakres badań specjalnie literackich (świadomość politycznego upadku i walki o niepodległość, z wybitnym udziałem w niej piśmiennictwa). Takiemu wyznaczeniu początku nowożytnej literatury w Polsce pomaga niewątpliwe dla współczesnego obserwatora istnienie przerwy cywilizacyjnej w formie „Czasów Saskich".

Referat, istniejący w formie planu, według którego przemawiałem, nie doczekał się opracowania na piśmie. Zagadnienie to nurtowało jednak widać współcześnie umysły historyków literatury, bo oto w omawianej księdze znajduję aż dwa studja jemu poświęcone. Zwłaszcza pierwsze z nich, Stanisława Cywińskiego[3], ucieszyło mnie jako nieledwie realizacja (o wiele doskonalsza niż ta, na jaką mógłbym się był zdobyć) mojego dawnego zamysłu zarówno w obranej metodzie, jak i w wynikach. Powołując się na analogje z innych dziedzin humanistyki i na literaturę, częściowo i przeze mnie wyzyskaną, wileński uczony tak samo dowodzi konieczności „umiejętnego podziału", poczem sam proponuje zupełnie opracowany w szczegółach projekt, wykreślając w każdym okresie czas powstawania, czas pełni rozwoju, czas zanikania danego charakteru czy stylu epoki. Daty (z pomiędzy których ze specjalną namiętnością wykreślone zostały 1795 i 1863) są zwięźle lecz przekonywająco uzasadnione i, poza pewnemi wątpliwościami, zupełnie do przyjęcia. Większe wątpliwości budzi oparcie procesu rozwojowego na grze trzech czynników: a) rodzimości, b) uniwersalizmu (katolicyzmu), c) obcych, partykularnych wpływów. Co do czynników a) i c), to i ja je brałem pod uwagę, choć w nieco innej płaszczyźnie, nie wyczerpując zresztą ich ustosunkowaniem charakteru epoki: natomiast czynnika b) (katolicyzm) niepodobna traktować jako równorzędnego z niemi ani na równej z niemi odległości od właściwego procesu literackiego. Jeżeli już komu na nim zależy, powinien falowanie jego natężenia umieścić w osobnej koordynacie grafikonu. Uderza też zakończenie datą 1897 (początek szczytowej doby „modernizmu", którą to nazwę autor woli widać od powszechnie przyjętej „Młodej Polski" — ma się rozumieć, w konwencjonalnem historycznem znaczeniu, jak „Młode Niemcy"); przecież 40-letnie dzieje literatury polskiej od tego czasu dadzą się już chyba ująć w ramy dość wyraźnych zmian stylu, wielokrotnie i różnorako charakteryzowanych. W różnych moich pracach proponowałem tu daty 1908, 1918, 1928 — przypadkowo obejmujące dziesięciolecia, wyznaczone jednak bez intencji zaokrąglenia liczbowego, a w oparciu o argumenty historyczno literackie.

Drugie studjum, *Rekonesans* Stefana Kołaczkowskiego podchodzi do sprawy od strony „syntez epok", najogólniejszych konstrukcyj, ujmujących prąd kulturalny jako związek tendencyj, przejawiających się w różnych dziedzinach życia, zbieżnych z pewnym stylem literackim. I mnie to w mym referacie interesowało. Choć autor nie zajmuje się konkretnie sprawami dat i granic okresów w całej literaturze polskiej, wagę tego problematu docenia, sam zaś szczegółowo i obszernie zajmuje się sprawą przełomu kulturalnego w Polsce w końcu lat 80-tych, związując go z działalnością St. Witkiewicza. Ciekawe, że oparte na zupełnie innych kryterjach i osiągnięte innemi metodami daty, kończące rozkwit pozytywizmu czy „realizmu", są identyczne u obu, tak dalekich sobie pod wielu względami, badaczy. Utwierdza to w przekonaniu, że sprawa podziału historji literatury na okresy nie jest dowolną igraszką pedantów, lecz ujęciem w uchwytne ramy jakiejś niezbyt uchwytnej, niemniej rzeczywistej, rzeczywistości.

K. W. ZAWODZIŃSKI

[1] *Prace historyczno-literackie*. Księga zbiorowa ku czci Ignacego Chrzanowskiego. Kraków 1936 (Prace z Historji Literatury Polskiej, Nr. 1). Str. 648.

[2] Wyszło również w osobnej odbitce: Leon Płoszewski: *Wieczność w notatniku*. O *Księdze Ubogich* Kasprowicza. Warszawa 1936. Skł. gł. Inst. Wyd. „Bibljoteka Polska".

[3] Ukazało się również w osobnej odbitce: Stanisław Cywiński: *Sprawa podziału dziejów literatury polskiej na okresy* (Przegląd prób dotychczasowych i pomysły). Kraków 1936. Nakładem autora.

PRZY ŹRÓDLE

Uwodzi woda rusałczana.
Co pachnie miętą i sitowiem,
Co miesza lotny wywar siana
I w naszeptanej zbiera mowie.

Uwodzi woda zwierciadlana —
Kryniczna czara i niczyja —
Niebo w zielonych trzyma dzbanach,
Przez złote słomki słońce spija.

Uwodzi woda zwierciadlana
Jak świeży napój — sok radosny.
Wystałe krople, zimne grona
Sączą do gardła strumień wiosny.

STEFAN GOŁĘBIOWSKI

O SZEWCZENCE POECIE UKRAIŃSKIM

(Z OKAZJI 75 ROCZNICY ZGONU)



Taras Szewczenko

Portret-minjatura pendzla K. Schieinsera

Prof. Marjan Zdziechowski w monografji swej p. t. *Mesjaniści i słowianofile* wypowiada następujący sąd o życiu największego poety ukraińskiego Tarasa Szewczenki, którego, jako autora *Neofitów*, poematu z czasów cesarza Nerona, zalicza do mesjanistów:

„W życiu Szewczenki odzwierciedliły się losy nieszczęsnego ludu ukraińskiego; poeta był z pod prawa wyjęty, zrazu jako poddany, później jako sołdat; również wyjęte z pod prawa było plemię, które zaludniwszy stepy, pozbawione granic przyrodzonych, wiecznie jęczało pod jarzmem sąsiadów i wrogów zarazem".

W przytoczonym cytacie znakomity uczony zjednoczył dwa zagadnienia: jedno z nich dotyczy życiorysu poety, drugie jego stosunku do zbiorowej duszy ukraińskiej, odzwierciedlonej w jego poetyckiej spuściźnie.

Zapewne żadnego poety życiorys nie przedstawia się tak tragicznie, jak Szewczenki: do 24 roku życia przyszły poeta pozostawał w poddaństwie, jako syn bezwolnego, do gleby przykutego pańszczyźniaka; przez lat 10 cierpiał w kirgiskich stepach katusze zesłańca politycznego, wcielonego w szeregi carskiej armji — lecz co więcej! w odpowiednim dekrecie władzy administracyjnej tyran Mikołaj I dopisał własnoręcznie: „pod najściślejszy dozór; nie dozwolić mu ani pisać, ani malować". Bezpośrednio po zesłaniu żył Szewczenko 4 lata pod ścisłym politycznym nadzorem, przeplatanym aresztami, tak, że łącznie wypadnie 38 lat niewoli na 47 lat życia. Tylko 9 lat był Szewczenko wolnym człowiekiem.

Wyzwolenie otworzyło przed żądnym wiedzy młodzianem cały ogrom możliwości, on zaś wyzyskał je w ten sposób, że bezzwłocznie zapisał się na studja w Akademji Sztuk Pięknych i z całym zapałem rzucił się do samokształcenia. Powtarzano coprawda dość długo nieuzasadnione domysły, jakoby Szewczenko był wprawdzie genjalnym, lecz może nawet mniej niż średniowykształconym człowiekiem. Dziś jednak już nikt nie podtrzymuje tej zapomnianej legendy o genjalnym kmiotku. Odkąd bowiem opublikowano tekst belletrystycznej prozy Szewczenki, jego korespondencji i pamiętnika, wiemy dowodnie, że posiadał on wiedzę rozległą, że władał obcemi językami, że specjalnie i szczegółowo przestudjował historję sztuki, historję powszechną i historję Ukrainy.

Dorobek malarski Szewczenki nacechowany jest ogromną różnorodnością, której źródłem były zmienne warunki życiowe i twórcze artysty, a niemniej wskazuje ona na ciągłe szukanie dróg i środków wypowiedzenia się twórcy. Gdy w czwartym roku wygnania zupełny brak materjałów malarskich uniemożliwił Szewczence używanie płótna i farb, codzienne zaś rewizje osobiste pozbawiły go nawet ołówka i papieru, wówczas próbuje modelarstwa i rzeźby. Po powrocie z dziesięcioletniej niewoli, trudno mu było zabrać się ponownie do farb, to też ostatnie dwa lata życia poświęcił Szewczenko grafice i doprowadził rzecz tak daleko, że Akademja petersburska nadała mu tytuł „akademickiego mistrza w miedziorytnictwie".

Krytyka zgodnie przyznała, że Szewczenko był jedynym uczniem Briułowa, który nie uległ wpływom wielkiego mistrza. Raczej szukał wzorów w technice Rembrandta. Pozatem jest Szewczenko lirykiem w pejzażu i realistą w malarstwie rodzajowem, czem wyprzedził malarzy wschodniej Europy. Jeżeli jednak mimo tak wybitnego talentu i zasług, mimo wielkiego bogactwa prac malarskich ogromnej wartości — a zdołano ich po dzień dzisiejszy zgromadzić i w rejestrze ustalić 900 pozycyj, — jeżeli mimo to Szewczenko przeszedł do historji kultury nie jako plastyk, lecz jako europejskiej chwały poeta, to dlatego, że w jego genjuszu poetyckim wcielił się całokształt Ukrainy i Ukraińców: rasa, krajobraz, przeszłość ziemi i przyszłość narodu.

Swoje *credo* poetyckie urabiał Szewczenko w okresie bujnego rozkwitu poezji romantycznej i byronistycznej; lutnię swą nastroił w epoce największych poetów nowoczesnych: Byrona i Shelleya, Goethego i Schillera, Puszkina, Lermontowa i trzech wieszczów polskich, a rozpostarł swe skrzydła do górnych lotów nad tą Ukrainą, która była egzotycznym krajem dla romantyków, więc dla t. zw. „ukraińskiej szkoły" w literaturze polskiej, dla Słowackiego, dla Gottschalla i Byrona, dla Puszkina i Rylejewa, któremu Mickiewicz poświęcił serdeczne, piękne wspomnienie:

Gdzież wy teraz? Szlachetna szyja Rylejewa,
Którąm, jak bratnią, ściskał, carskiemi wyroki
Wisi, do hańbiącego przywiązana drzewa...
Klątwa ludom, co swoje mordują proroki!

Całokształt filozofji Szewczenki formował się w epoce ponapoleońskiego zrewolucjonizowania całej Europy, nawet i Rosji. W związku z tem odżyli w jego pamięci w dzieciństwie jeszcze poznani weterani ukraińskich ruchów wolnościowych, odżyły wchłonięte w rannej młodości wspomnienia z czasów po zburzeniu Siczy zaporoskiej i tradycja hetmańszczyzny, na której gruzach cesarz Piotr I i Katarzyna II zorganizowali gubernje małoruskie.

W duchu epoki i tradycyj narodowych należy szukać źródeł artystycznego temperamentu Szewczenki i wyrobienia u niego zmysłu bohaterstwa i miłości ojczyzny, dominujących w jego poezji, podobnie jak u trzech wieszczów polskich, których też natchnęła do pieśni klęska utraty ojczyzny i niepowodzenie powstania listopadowego.

Za cel swej pieśni uważał Szewczenko przedłużenie minionej, lecz lepszej, bo wolnej przeszłości narodu w swem własnem państwie. To też młody poeta, w kraju i na obczyźnie, nawoływał swych ziomków do powstania. Ależ były to czasy okrutnego Mikołaja I, więc podobnie jak Mickiewicz w *Konradzie Wallenrodzie* przeniósł pole pożądanej przez poetę polsko-moskiewskiej walki na teren historycznych krzyżacko-litewskich zapasów, tak i Szewczenko bardzo przejrzyste wskazania i wezwania celowo oparł o walki Ukrainy z Turcją i Polską, który to manewr jednak szczwana żandarmerja rosyjska nie gorzej rozumiała niż ci, do których Szewczenko swój gorący apel adresował.

W 1843 roku, już 29-letni Szewczenko, odbył swą pierwszą podróż z Petersburga na Ukrainę. Wynik autopsji i bezpośredniego obcowania z ludem i zetknięcia się z inteligencją zastąpił poecie jego chłopięce wspomnienia o kraju rodzinnym i wywołane przez nostalgję marzenia, a zarazem zdwoił tempo jego wolnościowej, bojowej pieśni. Poeta położył teraz nacisk na potrzebę etycznego odrodzenia inteligencji i zbliżenia jej do ludu, na konieczność zlikwidowania pańszczyźnianego poddaństwa. Intuicja i drogą studjów Szewczenko głęboko wniknął w ducha historji i, wyprzedzając historjografów, najwłaściwiej ocenił w swych poematach historycznych społeczno-ustrojowe rozdźwięki, tarcia, nawet walki w łonie swego narodu. Skrzętnie wyzyskiwała te niesnaski w przełomowych momentach Moskwa, aż nareszcie obaliła państwowość ukraińską i narzuciła społeczeństwu jarzmo i ustrój w swym duchu.

A jednak Szewczenko nigdy nie zwątpił o przyszłości swego narodu: w hymnach, płomiennej liryce, listach on tę przyszłość opromienił ogniem swej wiary, a chociaż drogo, bo wolnością osobistą, zdrowiem i utratą warunków twórczości poetyckiej płacił za mężną swą pieśń — nie przestał siłą słowa uderzać w twierdzę tyranji, broniąc w niej państwowości ukraińskiej, uwłaszczenia ludu i godności ludzkiej włościanina.

Taką treść swych utworów poetyckich ubrał wieszcz w formę natchnionej pieśni, pełnej nietylko mocy, gorącej, ofiarnej miłości ojczyzny, ale też olśniewającego piękna i czaru. Nikt drugi, tak jak Szewczenko, nie zdołał w taką artystyczną całość zespolić uniwersalizmu z czysto swojskim tematem, u nikogo, prócz Szewczenki nie zlały się w taką organiczną całość jego indywidualna twórczość z ludową. Ten oryginalny zasób artystycznych środków dał Szewczence podstawę do stworzenia własnych form wypowiadania się. To bogactwo uformowało jego nawskroś oryginalną indywidualność poetycką, ono wzbudziło szerokie zainteresowanie, którego wynikiem są przekłady jego utworów na wszystkie europejskie języki, niemniej artykuły o nim i komentarze do jego utworów, a nawet obszerne studjum Szweda, Dra Alfreda Jensena. Ustosunkowanie się Szewczenki do swoistej zbiorowości tłumaczy nam wprost nieznany w dziejach innego narodu kult poety jako duchowego wodza narodu.

Taki jest historyczno-literacki komentarz do tezy prof. Zdziechowskiego. Poetycki komentarz pozostawił Antoni Sowa w swej odzie rzewnej i pełnej wiary. Tę odę p. t. *Do brata Tarasa Szewczenki* zakończył taką strofą:

Jako słońca nikt nie schowa,
Gdy dzień wzejdzie, tak nie może
Schować słowa nikt z tyranów,
Bo i słowo jest też Boże,
I ma wieszczów za kapłanów.

Jak pod grotem słońca pryska
Ciemnej nocy mrok i chłód,
Tak zbawienia chwila bliska,
Kiedy wieszczów rodzi lud.

Lwów.

DENYS ŁUKIJANOWYCZ



T. SZEWCZENKO Ukrzyżowanie

TARAS SZEWCZENKO JAKO MALARZ I GRAFIK

Z powołania i z zawodu Szewczenko był artystą-malarzem. Od wczesnego dzieciństwa do samej śmierci z zamiłowaniem i wbrew wszelkim przeszkodom był wiernym kapłanem ulubionej sztuki, karjera zaś literacka była w jego własnem pojęciu czemś dodatkowem, pobocznem, a jednak właśnie ona dała mu sławę i nieśmiertelność. Genjusz poetycki Szewczenki uznają wszyscy, zaś o jego zdolnościach jako artysty-plastyka ogół wie znacznie mniej. Jako o malarzu przez dłuższy czas pisano i wspominano o nim tylko przygodnie.

Syn chłopa pańszczyźnianego już jako mały sierota uświadomił sobie doniosłość ciągłego dążenia do uzewnętrzniania w formach plastycznych swoich wrażeń i sam, bez czyichkolwiek namawiań, zaczął z podziwu godną stanowczością szukać sobie nauczyciela wśród okolicznych malarzy wiejskich, wędrując od jednego do drugiego, łaknąc posiąść arkana pełnej dla siebie uroku wiedzy tajemnej. Nie zrażały go żadne niepowodzenia, a przecież były okropne: nauczyciele zmuszali go do zwykłej pracy domowej, a jeden z takich „apellesów" wiejskich, popatrzywszy na lewą (sic!) dłoń przyszłego artysty orzekł, że nie nadaje się on nie tylko do malarstwa, ale nawet do szewstwa lub bednarstwa. Zaprawdę wzruszający jest ten świadomy wybór karjery przez chłopca zaledwie dwunastoletniego!

Los mu nie sprzyjał: po długiej i bezskutecznej wędrówce trafił do kuchni swego dziedzica (jużci że nie z własnej woli!), ażeby po krótkim czasie awansować z kuchcika na „kozaczka pokojowego" i stracić nawet możność wymykania się na ulicę i rysowania kredą i węglem na parkanach i ścianach stajennych. Dziedzic (zruszczony Niemiec Engelhardt) nie mógł nie wiedzieć o zdolnościach malarskich małego Tarasa, gdyż w sporządzonym przez rządcę wykazie przyszłych sług dworskich Taras figurował, jako nadający się na „malarza domowego". Ale dziedzicowi z tem się nie śpieszyło: na razie Taras tkwił w przedpokoju, ażeby na zawołanie nabijać i zapalać fajkę swego pana.

W 1829 r. w Wilnie Engelhardt kazał wychłostać niesfornego chłopca, który ośmielił się w nieobecności pana dziedzica kopjować przy świecy skradzione na zajazdach obrazki. A jednak — za namową jakiegoś artysty-malarza[1] — po jakimś czasie 16-letni chłopiec zostaje oddany w Warszawie na naukę do Lampiego młodszego, która trwała zaledwie kilka miesięcy: spłoszony powstaniem listopadowym dziedzic ucieka z Warszawy, a po kilku miesiącach sprowadza stąd do Petersburga i swoją służbę dworską. Obdarty i prawie bosy, gdzieś w lutym — marcu 1831 r. odbywa uczeń Lampiego uciążliwą podróż (częściowo piechotą!), ażeby znów znaleźć się w przedpokoju swego pana, znów w charakterze kozaczka-lokajczyka. Ale nauka u Lampiego, aczkolwiek krótka nie poszła na marne: Taras umiał już robić konterefekty kochanek pana, za co łaskawy dziedzic raczył nawet czasem obdarzyć chłopca... aż rublem!

W r. 1832 udaje się młodemu artyście namówić swego pana, ażeby oddał go jako terminatora do majstra-przedsiębiorcy malarskiego, Moskala Sziriajewa. Dziedzic ciągnie z tego zyski, Szewczenko maluje wszystko, co każe pan majster — parkany, plafony, szyldy. Mieszka na brudnem poddaszu razem z takim, jak sam, chłopcem-terminatorem, też przyszłym artystą-malarzem T. Tkaczenką.

W r. 1836 odnawiano w Petersburgu Wielki Teatr podług projektu słynnego Kavosa. Pracę wykonywa przedsiębiorca Sziriajew. Śliczną dekorację plafonów projektuje i wykonywa faktycznie Szewczenko, zaś wyrazy uznania odbiera kto inny.

W czasie sezonu budowlanego, zanim słońce wzejdzie, śpieszy Taras wymknąć się ze swego poddasza. Kubeł z farbą, i pendzle w ręku, w zanadrzu — kawałek papieru: zanim nadejdzie godzina pracy szczupły chłopiec o dziwnie smutnych i pięknych oczach siada na kuble i rysuje posągi bogów w alejach Ogrodu Letniego. Czasem wymyka się tam i po fajerancie, i znów rysuje przy błędnem świetle białych nocy północnych. Pięć lat pracy u majstra, a żadnych perspektyw, żadnych lepszych widoków na przyszłość — wciąż rzemiosło zamiast upragnionej sztuki, nie znający litości gburmajster, brudne poddasze, zasmarowany farbami chałat i wciąż — niewola!

I raptem cud. Niepozorny skromny człowieczek przypatruje się jego pracy nad kopjowaniem posągów w parku. Rodak z Bogusława — artysta-malarz Soszenko. Rozmowa, znajomość. Chłopiec znalazł opiekuna. Starania o zwolnienie Szewczenki z poddaństwa trwają długo i idą opornie, ale przychodzi nareszcie upragniony dzień wolności: 22 kwietnia 1838 r. pan Engelhardt podpisuje *otpusknuju* — dokument zwolnienia Szewczenki z poddaństwa za cenę 2500 rubli w asygnacjach. Sumę tę uzyskano z loterji, na którą puszczono portret poety rosyjskiego W. Żukowskiego pendzla Karola Briułowa (Brulleau), zniemczonego potomka hugenotów francuskich, przyszłego nauczyciela Szewczenki.



T. SZEWCZENKO Portret P. Kulisza (r. 1843)

[1] Był nim prawdopodobnie wileński malarz prof. Rustem. Są nawet pośrednie dane do przypuszczenia, że Szewczenko i u niego trochę się uczył.



T. SZEWCZENKO Portret Hr. T. P. Tołstoja

Wczorajszy terminator malarski — dziś student Akademji Sztuk Pięknych, uczeń najsłynniejszego z ówczesnych malarzy rosyjskich.

O tej „metamorfozie" sam Szewczenko wspomina również w swoim dzienniku temi słowy:

„Raptowne przejście z poddasza ordynarnego chłopa — majstra malarskiego do wspaniałej pracowni największego artysty-malarza naszych czasów! Samemu teraz ciężko uwierzyć, a przecież naprawdę tak było. Z brudnego poddasza ja, brudas mizerny, jak na skrzydłach przefrunąłem do czarodziejskich sal Akademji Sztuk Pięknych... I cóż robiłem, czem się zajmowałem w tej świątyni? Dziwnie nawet pomyśleć: zajmowałem się pisaniem wierszy ukraińskich, które później tak strasznym ciężarem przygniotły moją ubogą duszę. Przed wspaniałemi dziełami swego nauczyciela trwałem w zamyśleniu i pieściłem w swem sercu swego ślepca-kobzarza oraz swych krwiożerczych Hajdamaków. W cieniu jego eleganckiej i wspaniałej pracowni, jak w stepie upalnym przesuwały się przede mną męczeńskie postaci naszych nieszczęśliwych Hetmanów. Przede mną rozpościerał się usiany kurhanami step. Przede mną powstawała moja piękna, moja nieszczęśliwa Ukraina w całej swej krasie — dziewiczej i melancholijnej. I pogrążony w zadumie nie mogłem oderwać swego wzroku duchowego od tego czarującego piękna rodzimego. Powołanie i nic więcej!

Dziwnem jednakże jest to powołanie wszechpotężne. Dobrzem wiedział, że *malarstwo* jest moim przyszłym zawodem, moim chlebem powszednim, i zamiast zgłębiać jego tajemnice i w dodatku pod kierownictwem takiego mistrza, jakim był Briułow, układałem wiersze, za które mi nikt grosza nie zapłacił, i które pomimo nieludzkiego wszechwładnego zakazu, jednak pisuję pokryjomu... Zaiste dziwnem jest to powołanie niepohamowane".

A jednak i tamto pierwsze powołanie — powołanie artysty-plastyka było również niepohamowane i również wszechpotężne. Czasem walczyły ze sobą, czasem szły w parze, nie wywołując żadnych rozterek lub kolizyj w życiu twórczem poety; czasem nawet wzajemnie się dopełniały, co nie zawsze uświadamiał sobie sam podwójnie uzdolniony artysta. Malując obrazy, posłuszny głosowi wewnętrznemu, rzucał nieraz pendzel, żeby zacząć poemat; pisząc poemat, zaczynał kreślić na marginesach zeszytu postacie bohaterów i bohaterek — tak wyraźne, jakby zbliska widziane, prawie że namacalne. Ale zawsze w poezjach jego pełno było obrazów tak plastycznych, chwytów o inwencjach tak właściwych malarzowi, że niektóre utwory jego (np. poemat *Hamalija)* są wprost gotowym scenarjuszem dla filmu.

Przez siedem lat, spędzonych w Akademji (z przerwą roczną w r. 1843) ciężko i mozolnie pracował. Tylko nadzwyczajna skromność i wrodzony samokrytycyzm mogły mu podyktować przekonanie, że nie „zgłębił tajemnic" ukochanej sztuki, faktycznie zaś tylko nigdy w życiu nie miał dostatecznych warunków po temu, by zgłębione tajemnice ujawnić ogółowi. Będąc uczniem Akademji żył w nędzy, musiał sporo czasu oddawać na niezbędne samokształcenie się, ciągle zmuszony był zarobkować: kopjował obrazy i robił portrety na zamówienie, ilustrował książki, pracował jako nauczyciel rysunków w domach prywatnych, a po dwóch latach, spędzonych na Ukrainie też w nieustającej pracy i podróżach (1845—47), nastąpiły długie lata ciężkiej, wyrafinowanej kary-niewoli.

Wszechpotężny klasycyzm, który wówczas panował w Akademji Petersburskiej, a którego gorącym adeptem był również i nauczyciel Szewczenki Briułow, mógł dać i dał młodemu artyście dużo tylko w zakresie formalnym: wyrobił się z niego dobry grafik-formalista. Martwe kanony klasycyzmu nie sprzyjały samodzielnemu rozwojowi zdolności artystycznych uczniów Akademji, i Szewczenko później musiał sam dokształcać się. Szedł za głosem wewnętrznym. Życie i nowe prądy literackie dały mu nowe rozumienie sztuki i jej zagadnień, w zakresie zaś rozwiązywania zadań kompozycyjno-stylizacyjnych szedł za ulubionymi włoskimi mistrzami doby Renesansu oraz Flamandczykami, zwłaszcza za ubóstwianym Rembrandtem.

Już w okresie akademickim wyraźnie zaznacza się w nim walka wewnętrzna — samodzielnie urabianych zamiłowań a rutyny szkolnej. W pierwszych kompozycjach oraz obrazach programowych, malowanych dla niezbędnej promocji, spostrzegamy brak życia, widzimy wymuskane postacie, przeładowanie obrazu szczegółami i t. p. *(Katarzyna,* niedawno odnaleziona *Cyganka-wróżka* i inne); natomiast w obrazach malowanych na zamówienie, będących nieraz naśladowaniem techniki innych mistrzów (często P. Sokołowa), widzimy większą swobodę linij oraz głęboką wnikliwość psychologiczną. W sztuce portretowej zrobił szczególne postępy. Nawet po skończeniu Akademji nieraz robił portrety „pod Briułowa". Niektóre z nich są świetne (np. księżnej Kejkuatow, p. Majewskiej i inne), i sam Briułow nie wstydziłby się położyć pod niemi swego podpisu. Ale po przeniesieniu się Szewczenki na Ukrainę z obrazów jego stopniowo znikają wyszukane „romantyczne" pozy, porcelanowość twarzy i wogóle wszystkie przepisane chwyty szkoły klasycznej; w rodzajach ujawnia się wyraźna tendencja do naturalizmu, i nawet pejzaże zostają ożywione przez umieszczenie w nich postaci ludzkich, a czasem całych scen obyczajowych.

Na Ukrainie Szewczenko pracuje, jako artysta-malarz, powołany do współpracy przez Kijowską Komisję Archeograficzną (faktycznie zaś będącą również i Archeologiczną). Zwiedza całą Ukrainę, z początku Połtawszczyznę, Czernihowszczyznę i Kijowszczyznę, później zaś i Ukrainę Prawobrzeżną do jej punktów krańcowych włącznie (Kamieniec Podolski i Poczajów). Wszędzie zrysowuje zabytki historyczne, przeważnie na tle otaczającego je pejzażu. Wśród tych licznych rysunków, sepij i akwareli są prawdziwe arcydzieła. Charakteryzują je umiejętność wyboru punktu obserwacyjnego, śmiałość linij i świetna technika przy jednoczesnem unikaniu przeładowania obrazu szczegółami. W obrazach tych jest coś oryginalnego, odmiennego od twórczości innych ówczesnych malarzy — coś właściwego tylko jednemu Szewczence. To niby nieuchwytne „coś" jednak tak wyraźnie występuje, że każdy, kto widział kilka tych obrazów, odrazu pozna autora w każdym nowym, niepodpisanym. Tym na pierwszy rzut oka nieuchwytnym elementem jest ich specyficzna i głęboka nastrojowość: to, z czem wkraczał w dziedzinę plastyki wielki poeta-liryk.

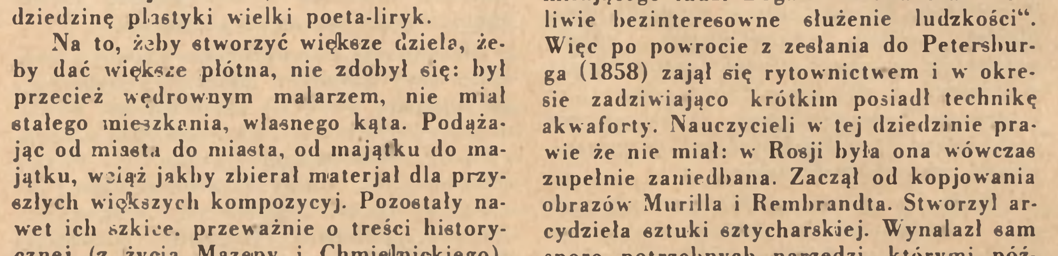
Na to, żeby stworzyć większe dzieła, żeby dać większe płótna, nie zdobył się: był przecież wędrownym malarzem, nie miał stałego mieszkania, własnego kąta. Podążając od miasta do miasta, od majątku do majątku, wiążąc jakby zbierał materjał dla przyszłych większych kompozycyj. Pozostały nawet ich szkice, przeważnie o treści historycznej (z życia Mazepy i Chmielnickiego). W chwili zaś, gdy w życiu jego miała nastąpić zmiana na lepsze, kiedy miał zdobyć określone stanowisko służbowe (przybył do Kijowa, aby objąć posadę profesora rysunków na Uniwersytecie), został aresztowany. Szewczenko-malarzowi został podstawił nogę Szewczenko-poeta: „za pisanie wierszy buntowniczych" został skazany na bezterminową służbę w wojsku w stepach orenburskich, a car Mikołaj I, konfirmując ten wyrok, zarządził oddanie poety pod najsroższy dozór, zabraniając mu jednocześnie zajmowania się pracą literacką, oraz sztuką malarską („z zapreszczenijem pisat' i risowat' "). Pisał z dalekich stepów do przyjaciółki, księżniczki B. Repnin: „Patrzeć i nie rysować — jest to męczarnia, którą zrozumie tylko prawdziwy artysta".

Ale pomimo „nieludzkiego wszechwładnego zakazu" malował jednak: kryjąc się przed dozorcami, narażając się na nową karę. Odpowiadając na pytanie przyjaciela, czy przestanie malować, pisał: „radbym porzucić, ale niepodobna". W 1848 — 49 r. przez 1½ roku malował nawet legalnie, gdyż w tym właśnie celu został przydzielony do wojskowo-naukowej ekspedycji, która badała morze Aralskie. Za to naruszenie zakazu carskiego (pomimo że sankcjonowali je przełożeni) został skazany na zaostrzone zesłanie do najodludniejszego zakątka w kraju Zakaspijskim — fortu Nowopietrowskiego, gdzie rok przedtem pędził żywot wygnańca przyjaciel jego Zygmunt Sierakowski. Ale i tam potrafił czasem omijać zakaz carski, wyzyskując przyjaźń dwóch ludzkich komendantów fortu. W roku 1851 nawet wymknął się z fortu na parę miesięcy, jako żołnierz, przydzielony do ochrany ekspedycji geologicznej, która badała góry Kara-Tau. Mógł tam swobodnie malować: przyjaciel i dawniejszy pomocnik Szewczenki, Polak Bronisław Zaleski był rysownikiem ekspedycji i zawsze mógł wziąć autorstwo na siebie.

W fortecy Orskiej, na morzu Aralskiem, w okolicach Nowopietrowska oraz w górach Kara-Tau stworzył setki obrazów — ołówkiem, sepją i akwarelą. Są to przeważnie pejzaże albo widoki zabytków historycznych chińskich, turkmeńskich oraz kirgiskich. Są również wśród nich ciekawe i o wysokiej wartości artystycznej kompozycje na tematy z życia tamtejszych tubylców. Są i samodzielne kompozycje o głębokiej treści ideologicznej.

Tam na Wschodzie, w „szkole słońca", w królestwie światło-cieni, ostatecznie znalazł siebie, jako artysta. Przejrzystość powietrza, wyraźne kontrasty świetlne posłużyły mu za najlepszą szkołę perspektywy, w technice „rembrandtowskiej" osiągnął tam zdumiewające wprost rezultaty. Duszę wschodu — jego niesamowitą melancholijność odczuł głęboko i potrafił ją oddać w pejzażach z niezrównaną nastrojowością.

W warunkach, któreby odstraszyły niejednego śmiałka, on, z wielkim trudem zdobywając każdy kawałek farby, każdy pendzelek lub ołówek, przez 10 lat bezustannie i wytrwale pracował nad sobą, jako artysta. Postępów poczynionych tam sam nie umiał ocenić. Naodwrót, — zdawało mu się, że do samodzielnej pracy malarskiej już nigdy nie wróci. Już wiedząc o amnestji pisał do wiceprezydenta Akademji hr. T. Tołstoja: „Malarzem-twórcą obecnie już nie mogę być... Myślę zająć się rytownictwem *à la acquatinta...* Szerzyć przez grawiurę sławę słynnych mistrzów, szerzyć wśród ludzi, niewtajemniczonych w sztuce, zamiłowanie do piękna i dobra — to jest najczystsza i najmilsza dla miłującego ludzi Boga modlitwa oraz możliwie bezinteresowne służenie ludzkości". Więc po powrocie z zesłania do Petersburga (1858) zajął się rytownictwem i w okresie zadziwiająco krótkim posiadł technikę akwaforty. Nauczycieli w tej dziedzinie prawie że nie miał: w Rosji była ona wówczas zupełnie zaniedbana. Zaczął od kopjowania obrazów Murilla i Rembrandta. Stworzył arcydzieła sztuki sztycharskiej. Wynalazł sam sporo potrzebnych narzędzi, którymi później posługiwali się słynni akwafortyści petersburscy Sziszkin oraz Mathé. Alma mater przyznała mu wyższy stopień artystyczny: mistrza Akademji. Portrety i autoportrety Szewczenki, zrobione akwafortą, dały mu sławę nowoczesnego Rembrandta; szczególnie przydała mu się nauka Wschodu: stał się prawdziwym mistrzem światłocienia. Ale głośna sława poety i wieszcza narodowego Ukrainy pochłonęła jego sławę artysty-malarza i grafika. Dopiero w 1911 r., w pięćdziesiątą rocznicę śmierci Szewczenki, zjawiła się pierwsza solidna ilustrowana monografja o nim, jako artyście-malarzu, pióra A. Nowickiego, późniejszego członka Ukraińskiej Akademji Umiejętności.



T. SZEWCZENKO Cmentarz turkmeński (r. 1853)



T. SZEWCZENKO Portret księżnej Kejkuatow

Każdą techniką malarską Szewczenko władał jednakowo dobrze: olejnemi farbami, akwarelą, sepją, ołówkiem, piórem. Znał i wszystkie sposoby reprodukcji: litografję, ksylografję oraz sposób rytowania za pomocą galwanoplastyki, podobny do współczesnej heljograwiury. Próbował sił również i w rzeźbiarstwie, kiedy w pewnym okresie na zesłaniu był szczególnie skrępowany w możliwości malowania. Niestety rzeźby jego nie doszły do nas.

Pod względem tematyki twórczość Szewczenki jest zjawiskiem nader ciekawem. Jeden z pierwszych na wschodzie Europy wystąpił on, jako przekonany naturalista w malarstwie. Uznał, że jak w literaturze, tak i w sztuce plastycznej nie istnieją tematy brzydkie: o moralności treści decyduje cel, któremu dzieło sztuki służy. Przeto nie zawahał się dać obraz strasznej kary szpicrutami *(Zielona ulica),* odtworzyć nędzne życie smrodliwych koszar, do których go wrzuciła ręka carska *(W koszarach),* pełne grozy życie wyrzutków społeczeństwa (serja obrazów *Syn marnotrawny)* i t. d. Na istotę i zadania sztuki miał zupełnie wyrobiony pogląd, ściśle łączący się z jego oryginalną filozofją przyrody oraz religijnym antropocentryzmem. O jego estetyce możnaby napisać specjalne studjum, — tak dużo materjału dają dla tego tematu jego listy, dziennik oraz powieści. Ale jego poglądy teoretyczne na istotę sztuki łatwo skreślić w krótkich słowach. Bóg Szewczenki — jest to prawda i miłość. Prawdą jest piękno. Służyć pięknu znaczy służyć Bogu. Szerzenie zamiłowania dla sztuki jest to misja wzniosła, zbliżająca nas do Boga, umoralniająca ludzkość. Z tem przekonaniem łączy się ściśle i utylitarystyczny pogląd Szewczenki na sztukę, jako na materjał dydaktyczny dla naprawy obyczajów. Z tego właśnie przekonania powstała m. in. serja obrazów *Syn marnotrawny,* łącząca go z Hogarthem. Kwestji estetycznego wychowania Szewczenko poświęcił wiele uwagi.

Wolał czytać dzieła z historji sztuki, niż teoretyczne traktaty z zakresu estetyki [2]. Był widocznie tego zdania, że istotę sztuki poznaje się przez intuicję. Sam proces twórczości artystycznej (tak w zakresie sztuki plastycznej, jak również i w poezji) przeżywał, jak emocję religijną. Ksiądz Bremond nie małoby się ucieszył, gdyby o tem dowiedział. Tworzyć u Szewczenki zawsze równoznaczne z modlić się. Rozpoczynając na nowo po powrocie z zesłania okres twórczego życia, poeta zwracał się do muzy:

> Idź zawsze ze mną! Śpiesz z pomocą
> I ucz ustami nieklamanemi,
> Jak *prawdę głosić!* Pomóż mi
> Po kres *modlitwą serca wzruszać...*

To modlitewne służenie poety trwało do ostatniej chwili życia, do ostatniego tchnienia. Już będąc śmiertelnie chory namalował swój ostatni autoportret i na łożu śmierci prowadził rytmiczne rozmowy ze swoją muzą... Z przedśmiertnego autoportretu patrzy na nas niezmiernie smutnemi oczami. Może dla tego był tak smutne, że odchodząc wiedział, jak wiele na tym świecie pozostaje „serc niewzruszonych", serc twardych i głuchych...

Liczba wszystkich odnalezionych dzieł artystycznych Szewczenki przekracza 900. Zostały one zgromadzone przeważnie w trzech specjalnych zbiorach muzealnych w

[2] Historję sztuki znał wspaniale. Jeszcze w młodych latach wystudjował wszystkie zbiory państwowe i prywatne w Petersburgu. W pismach jego znajdujemy setki imion mistrzów sztuki i trafne sądy estetyczne.

Kijowie, Czernihowie i Charkowie. Prawie każdy miesiąc przynosi nowe i nowe jego dzieła w zbiorach prywatnych i w różnych pinakotekach państwowych. Kilka jego obrazów posiadają instytucje ukraińskie we Lwowie, są również one i w prywatnych zbiorach polskich. Aczkolwiek o Szewczence, jako malarzu i grafiku, pisano wiele, jednak ta dziedzina jego twórczości nie została jeszcze należycie zbadana. Dokładne zbadanie jej rzuci jeszcze nie jeden promień światła również i na jego twórczość poetycką. W historji sztuki ukraińskiej twórczość artystyczna Szewczenki jest ogniwem, łączącem renesansowe wysiłki następnych po nim pokoleń z dorobkiem wielkich mistrzów ukraińskich wieku XVIII-go — Borowikowskim, Lewickim i innymi.

Kulturalno-historyczna wartość jego dzieł malarskich dla Ukraińców jest większa od wszystkich skarbów: stworzył je duchowy wódz narodu.

PAWEŁ ZAJCEW

BOHDAN HUTTEN-CZAPSKI

I

W ostatniem pięćdziesięcioleciu przed wojną światową w Austrji wielu Polaków zajmowało pierwszorzędne stanowiska państwowe i wpływami swemi pracowało dla Polski, dla Galicji w szczególności: hr. Agenor Gołuchowski rozpoczyna szereg owych mężów stanu. Spotykają się tam nazwiska Potockich, Sanguszków, Badenich, Ziemiałkowskich, Bilińskich i wielu in. W zaborze rosyjskim w ciągu ostatniego pięćdziesięciolecia było niewielu Polaków na wyższych, najczęściej na drugo- i trzeciorzędnych stanowiskach państwowych. Rosjanie dowcipnie nazywali niejednego z nich „rzeczywisty tajny Polak": była to parafraza tytułu „rzeczywisty tajny radca" i wskazywało, że ten Polak urzędnik zachowywał swą polskość, nie manifestował jej lecz w domowem ognisku czuł się Polakiem, a w sprawach służbowych jego sentyment polski przejawiał się czasami przy sprawach mniejszej wagi, nie narażających go. W zaborze pruskim w ostatniem pięćdziesięcioleciu nie było Polaków na stanowiskach państwowych. Przy znacznej falandze wykwalifikowanej inteligencji niemieckiej, Polaków niechętnie przyjmowano na służbę państwową; widzianoby chętnie synów bogatych ziemian w wojsku, a nawet na stanowiskach, które na mocy prawa zwyczajowego zajmowane były zwykle przez ziemian, jak na stanowisko Landratów, ale Polacy nie garnęli się do służby wojskowej, co uniemożliwiało zajęcie pewnych posterunków w służbie cywilnej. Gdy walka narodowościowa polsko-niemiecka przeniosła się na teren gospodarczy, zamożniejsi Polacy jęli się spraw swych prywatno-gospodarczych, oraz zrzeszeń gospodarczych. Gęsta sieć kolejowa, tani kredyt, doskonały rynek zbytu na produkty rolne w szybko rozrastającej się stolicy państwa, cła, zabezpieczające od konkurencji taniego zboża rosyjskiego — wszystko to ułatwiało i zachęcało przez łatwy efekt do pracy gospodarczej; rozwój towarzystw ekonomicznych w Niemczech i brak prawnych przeszkód w tej dziedzinie, zachęcał do pracy w stowarzyszeniach gospodarczych. Dla ambicyj politycznych poza posłowaniem, nie było pola. Posłowanie wydawało się coraz to bardziej bezpłodnem wyrzekaniem na krzywdy narodowe, skarżeniem się, że jesteśmy obywatelami drugiej klasy, oraz upewnianiem o naszem pogodzeniu się z losem, z państwem pruskiem, które jednakże z nami nie chciało się pogodzić.

Hrabia Bohdan Hutten-Czapski, właściciel olbrzymich dóbr o stu tysiącach hektarów, przedstawiciel historycznego rodu, skojarzonego z najbardziej znakomitemi historycznemi rodami, nie oddał się całkowicie sprawom gospodarczym swych dóbr, nie szukał mandatu poselskiego, nawet nie żył wśród rodzimego społeczeństwa. Syn, pogrobowiec powstańca roku 1831, cenionego działacza na emigracji, otrzymał kosmopolityczne wychowanie i wykształcenie; Rzym, Wiedeń, Berlin i Paryż udzielały mu skarbnicy swej kultury; z Polski pozostała mu znajomość języka polskiego z akcentem gorszym, niż ten, jakiego nabył w języku niemieckim i francuskim. Któż bowiem dbał o dobry akcent polski? Matka jego prawdopodobnie obawiała się, że głos krwi ojcowskiej poprowadzi go w ślady ojca, gdzie się idzie drogą ciernistą, więc dała mu to kosmopolityczne wykształcenie.

We wczesnej młodości młody Bohdan Hutten-Czapski był mile widziany na dworze Piusa IX-go i lubiany przez tego papieża; potem obracał się w sferach arystokratycznych i naukowych Wiednia, potem dokształcał się w Niemczech i we Francji, był mile widziany na dworze króla pruskiego, starego cesarza Wilhelma, który go zachęcał do karjery oficerskiej. Młody Bohdan zrobił wówczas uwagę, że jako Polak będzie pomijany w awansie, co wywołało żywe zaprzeczenie ze strony starego cesarza. W wojsku doszedł hrabia Hutten-Czapski do rangi pułkownika. Był jednym z attachés wojskowych w Paryżu, był dłuższy czas w Alzacji przy namiestniku Manteufflu; szczytem jego wpływów w Niemczech przedwojennych było kanclerstwo Hohenlohego, z którym łączyły go bliskie stosunki i którego mężem zaufania był Bohdan Hutten-Czapski, spełniając różne powierzone mu misje, przyczem został członkiem Pruskiej Izby Panów.

Taki przebieg życia dał mu styczność z mężami stanu, dygnitarzami Niemiec, książętami krwi, oraz uczonymi. Mogłyby więc pamiętniki Hutten-Czapskiego,[1] obejmujące 60 lat życia politycznego i towarzyskiego, być bardzo zajmujące, dać obraz prądów i kierunków w Rzeszy Niemieckiej. Pamiętniki te jednak nie dają tego, coby dać mogły, jakkolwiek hr. Bohdan Hutten-Czapski należał do wyjątkowo zdolnych i wyjątkowo wykształconych ludzi. W pamiętnikach spotykamy wciąż podanie wiadomości do jakiego panującego, lub dygnitarza został zaproszony na obiad, lub kolację, jakie grono pierwszorzędnych dygnitarzy było tam obecne, lecz o czem mówiono, jak reagowano na aktualne wypadki polityczne, o tem hr. Hutten-Czapski najczęściej nie podaje żadnych wiadomości. Czuje się, że mu imponowało, że był przyjęty do najwyższych sfer państwowych i towarzyskich, mogło być to czynnikiem zupełnej asymilacji narodowościowej. Lecz ukryta siła żywiołowa polskości tętniła w nim i była przebudzana w mniejszym lub większym stopniu, zależnie od wypadków zewnętrznych. Gorliwy katolik dbał o polskość kościoła katolickiego w poznańskiem i forsował na katedrę arcybiskupią Stablewskiego, następnie Likowskiego. Ze względu na jego stosunki z Watykanem był używany do poufnych misyj dla pertraktacji ze Stolicą Apostolską. Chodziły nawet pogłoski, że jest ukrytym jezuitą, spowiednikiem cesarzowej.

Gdy zanosiło się na wojnę między dwuprzymierzem a trój-przymierzem w okresie 1889/93 r. Hutten-Czapski dla sztabu niemieckiego podjął się ważnej misji zapoznania się z opinją polską i stanowiskiem Polaków do ewentualnej wojny.

„9 marca 1892 r. udałem sę w podróż. W Krakowie odwiedziłem domy, nadające ton; a więc: Potockich, Branickich, Tarnowskich. Złożyłem także wizytę księciu biskupowi kardynałowi Albinowi Dunajewskiemu. Koła krakowskie reprezentowały kierunek zdecydowanie zachowawczy, który nie mógł uchodzić za wyraz przekonań całego społeczeństwa polskiego, posiadał jednak znaczny wpływ w zaborze austryjackim. Koła te były w całości wiernie oddane dynastji Habsburgów".

„We Lwowie, stanowiącym tętniący życiem ośrodek zaboru austryjackiego, wprowadził mnie do towarzystwa Witold Korytowski, stojący na czele Krajowej Dyrekcji Skarbowej... złożyłem też dłuższą wizytę namiestnikowi Badeniemu i poznałem u niego wielu posłów z rozmaitych stronnictw. Mogłem się więc ponownie przekonać, że wszyscy Polacy galicyjscy ciążą do Wiednia i widzą w cesarzu Franciszku Józefie jedyną nadzieję narodu polskiego, uważają natomiast Rzeszę Niemiecką, a zwłaszcza Prusy za niebezpiecznego przeciwnika. Przyczyniły się do tego bardzo polityka przeciwpolska księcia Bismarcka, a szczególniej wydalenie 30.000 robotników, pochodzących z Kongresówki i Galicji, potępione zresztą przez Reichstag."

„W uciśnionym zaborze rosyjskim, wiosną 1892 roku, sympatje Polski dla Austrji, żywione od dziesiątków lat, oraz powstałe nagle, ale szybko szerzące się wtedy sympatje dla Niemiec osiągnęły taki stopień, że hrabia Badeni wyraził wobec mnie wielkie obawy co do możliwych skutków tego zjawiska, podejrzewając, że przyczyną jego jest działalność tajnych wojskowych agentów obu mocarstw sprzymierzonych. Mianowicie można było obawiać się gwałtownych represyj rządowych w zaborze rosyjskim, albo też powikłań z Austrją i Niemcami". Następnie zwiedził Hutten-Czapski zabór rosyjski i był w Warszawie, w Wilnie, na kresach północno-wschodnich i na kresach południowych. Wszędzie obracał się wśród zamożniejszego ziemiaństwa; w Warszawie widział się z baronem Leopoldem Kronenbergiem, prof. Baranowskim, dwoma wybitnymi przedstawicielami ugody. Otóż, pisze: „W razie wojny, powiedziano mi: „wielu bardzo wpływowych przedstawicieli mieszczaństwa uczyni wszystko, aby utrzymać neutralność, jednakowoż nawet im samym nie wydawało się wykluczone, iż pragnienie zmiany istniejących stosunków okazałoby się silniejsze". „Płomienną nienawiścią do Rosji pałała młodzież akademicka i gimnazjalna, jako też drobnomieszczaństwo. Chłopi nie wszędzie jeszcze byli narodowo uświadomieni. Główną ich cechą była uległość. Uważałem, że bezwarunkowo wykluczone jest, aby kiedykolwiek zachowali się nieprzyjaźnie wobec żołnierzy niemieckich. Ogólne wrażenie, uzyskane z podróży przez cały zabór rosyjski streściłem w mym raporcie w tym sensie, że „Polacy pragną wojny, i gdyby ona kiedykolwiek wybuchła, byliby sojusznikami dla niemieckiego dowództwa pożytecznymi, dla niemieckiej polityki może niewygodnymi".

Bardzo ciekawe są zalecenia, jakich wówczas udzielił hrabia Hutten-Czapski.

„Jest zupełnie pewne, że wszyscy urzędnicy państwowi w Polsce opuściliby najpóźniej w przeddzień nadejścia naszych wojsk miejsca swego urzędowania, zabierając ze sobą, lub niszcząc akta, i że zastalibyśmy w kraju w dziedzinie administracji, wymiaru sprawiedliwości i poczty zupełną *tabula rasa*. Stanowi temu da się łatwo zaradzić; dymisjonowani urzędnicy polscy wszyscy pozostali w kraju: wielu z nich żyje, jako głodujący emeryci, po małych miasteczkach, wielu z nich pracuje w charakterze dietarjuszy w urzędach, spełniając większość pracy, podczas gdy urzędnicy etatowi otrzymują uposażenie i napiwki. Ci dietarjusze byliby w stanie i byliby gotowi kierować urzędami, a zatem istnieje możliwość natychmiastowego wprowadzenia uporządkowanej administracji zajętego obszaru w miarę postępowania naprzód". Następnie zaleca Hutten-Czapski mianowanie Polaków naczelnikami powiatów i gubernatorami z przydzieleniem urzędników pruskich, powierzenie centralnej administracji generał gubernatorowi, który prawdopodobnie byłby jakimś generałem, obdarzonym szczególnemi zdolnościami administracyjnemi, lecz bardziej pożądanem ze względu na wrażenie, jakie by to sprawiło w kraju osadzenie na takiem stanowisku księcia Rzeszy Niemieckiej; poza tem uważał za wskazane przydzielenie do boku naczelnika kraju kilku krajowców o nazwiskach historycznych, lub o wielkiej popularności.

„Jestem przekonany — pisał hr. Bohdan Hutten-Czapski, że w częściach kraju, zajętych przez armję sprzymierzonych wywołać można zbrojny ruch narodowy. Pierwszym jego warunkiem jest gładki, pomyślny przebieg wydarzeń wojskowych. Drugim warunkiem jest postanowienie, które winno być wyrażone jasno i niedwuznacznie, że zajęte ziemie będą we wszelkich okolicznościach trwale zatrzymane. Mianowanie polskich urzędników, wprowadzenie polskiego języka urzędowego, oraz wydanie podniosłej odezwy, przypominającej o przeszłości politycznej kraju, zapewne będzie miało zamierzony skutek. Trzeba będzie jednak odrazu, na początku kampanji uwzględniać tak dalece życzenie społeczeństwa krajowego, aby przychylne jego usposobienie, utrzymane zostało trwale". (185 str. tom I).

Autor w swym memorjale nie mówił wyraźnie o niepodległości polskiej, lecz do niej sterował. Mamy w nim jakby preludja wypadków, które rozegrały się przeszło 20 lat temu. Widzimy juz pewne przeciwieństwo między Niemcami a Austrją w sprawie Polski. Austrja, jak widać z oświadczeń namiestnika Badeniego, była zaniepokojona niemieckiemi sympatjami w Królestwie. Plany Hutten-Czapskiego co do zarządu okupowanemi obszarami zaboru rosyjskiego podczas wojny szły znacznie dalej, niż zarządzenia władz niemieckich podczas wojny. Nie znałem w 1916 r. projektu Hutten Czapskiego, lecz w memorjale, opracowanym przeze mnie, w parę miesięcy przed proklamowaniem Państwa Polskiego, zalecałem analogiczne urządzenie kraju podczas wojny.

To, na co oczekiwano w 1893 roku, przyszło w 1914, w warunkach gorszych dla antagonistów Rosji. W 1893 roku Rosja była po dwóch latach głodu i nieurodzaju. Uzbrojenie jej pozostawało znacznie w tyle poza uzbrojeniem państw centralnych. Anglja znajdowała się z Rosją w antagonizmie. Błędem politycznym ze strony państw centralnych było niewyzyskanie owoczesnego momentu, jak niewyzyskanie następnie wojny rosyjsko-japońskiej.

Hr. Bohdan Hutten-Czapski twierdzi, że podczas wojny rosyjsko-japońskiej był zwolennikiem czynnego wystąpienia Niemiec przeciwko Rosji, lecz mówi o tem w przedmowie do swojej książki, nie podając żadnych szczegółów w odpowiednim rozdziale książki.

WŁADYSŁAW STUDNICKI

[1] BOHDAN HUTTEN-CZAPSKI, *Sześćdziesiąt lat życia politycznego i towarzyskiego*. T. I (str. 652), T. II (str. 665). Warszawa 1936. Nakł. księg. F. Hoesicka.

NOWA HISTORIA POWSZECHNA

Znakomita firma wydawnicza J. M. Dent & Sons w Londynie, znana ze swej tysiącotomowej biblioteki *(Everyman's Library)*, — obejmującej literaturę powszechną, historię, nauki przyrodnicze, filozofię, teologię, podróże i wydawnictwa dla młodzieży, — wystąpiła na początku 1936 roku z bardzo niepospolitym a nawet zdumiewającym skrótem historii powszechnej, od czasów przedhistorycznych aż do Stalina, Mussoliniego, Hitlera i ostatnich wypadków w Mandżurii.

Dzieło to jest nadzwyczaj zwięźle i nieomal lapidarnie napisane przez W. N. Weecha z Bristolu i R. Flenleya z Toronto w Kanadzie. William Nassau Weech nie ma jeszcze 60 lat (ur. 1878), a posiada znaczne wychowawcze doświadczenie, bo kierował przez czas dłuższy różnymi szkołami, i zasiadał w radzie kilku uniwersytetów, a nadto dał się poznać z kilku wartościowych dzieł historycznych.

On poniekąd podał ton dla tego podręcznika, opracowując całą starożytną historię aż do upadku Rzymu. Jego młodszy współpracownik R. Flenley w tym samym duchu opracował średniowieczną i nowoczesną historię aż do 1935 roku włącznie.

Cechuje ten obraz dziejów bardzo staranne odróżnienie rzeczy najważniejszych, z uwzględnieniem rozwoju myśli i ducha.

Obfitość ilustracyj, które nam ukazują rysy najznakomitszych ludzi, sławne pomniki architektury, dzieła sztuki, mapy historyczne, charakterystyczne przejawy kultury i cywilizacji, pozwalają czytelnikowi w związku z nader przejrzystym tekstem i doskonałymi skorowidzami treści przeżyć dzieje ludzkości i zyskać materiał do rozmyślań nad teraźniejszością.

Szczególniej godne uwagi są rozważania nad znaczeniem poszczególnych epok i wypadków dziejowych. Oto kilka przykładów takich znamiennych i niezmiernie pouczających ustępów, których byśmy napróżno szukali w zwykłych podręcznikach:

Str. 1: „Bardzo wcześnie człowiek pozyskał poczucie piękna, i zaczął się zastanawiać nad sobą i nad różnorodnością świata, w którym żył. Prawdopodobnie człowiek z Cro Magnon, który zdobił skały i jaskinie barwnymi obrazami zwierząt, żył około trzydziestu pięciu tysięcy lat temu. Przypuszczalnie jeszcze dawniej pewne plemiona zaczęły myśleć o Bogu i wyobrażać sobie życie przyszłe".

Str. 3: „Postęp osiągany w ciągu niezliczonych wieków nie był ciągłym ani jednostajnym na całej powierzchni ziemi. Nawet w ciągu ostatnich dwóch wieków napotykano plemiona zatrzymane w rozwoju i pozostające na poziomie epoki kamiennej".

Str. 86: „Ludy nad Nilem i Eufratem stworzyły rolnictwo, które miastom zapewniało dostateczne pożywienie, i przez to dawało swobodę przemysłu i handlu. Ich bogactwo pociągało najeźdźców z mniej uprzywilejowanych stepów i pustyni. Niektórzy zaborcy stanowili siłę niszczącą, i nie pozostawiali po sobie nic prócz udoskonalenia wojskowości. Ale inni przyjmowali życie swych poprzedników, i wkładali nową energię w ziemie, które zawojowywali.

Mięszana ludność krajów zdobytych dawała wzór ustroju rządu, handlu, architektury, zdobnictwa, komunikacji i marynarki, a ta kultura wpływała na mniej okrzesane ludy zachodnie. W Egipcie i Mezopotamii powstał alfabet i kalendarz; tam badano gwiazdy i mierzono ziemię, tam się zastanawiano nad tajemnicami życia i śmierci.

Kapłani wszczęli naukowe badania, i potem zwrócili się do zawiłego rytuału. Niektóre ich praktyki religijne były poniżające. Ale było też przebudzenie się wyższych aspiracyj, szczególniej u Semitów, i szukanie Boga.

Skutki tej gorliwości religijnej trwają dotąd".

Str. 153: „Powiedziano kiedyś, że nic na świecie dziś nie istnieje, coby nie miało swych początków w Grecji. To była przesada, jak dowodzi historia chrześcijańska. Grek odznaczał się tolerancją w zakresie religii, i nie miał potęgi Semitów w nawracaniu innych ludów na swoją wiarę. Tylko na krótko umiał utrzymać stały rząd w swych miastach i w krajach, nad którymi panował. Mówił o demokracji, a odmawiał ogromnej większości ludności udziału we władzy politycznej. Ale wierzył w postęp i dał ludzkiemu duchowi impuls, który jeszcze nie wygasł. Pomimo swej wyłączności pierwotnej, nauczył się współdziałać z barbarzyńcami i używać swego

umysłu, aby pobudzać ich myśli i kształtować ich wierzenia. Odkrył przyrodę i ustanowił zasady wielu nauk. Stworzył nieśmiertelne artystyczne formy, które przeżyją barbarzyństwa dwudziestego wieku. Wypielęgnował miły i rozumny kult ciała ludzkiego. Stworzył prawie doskonałą literaturę. A nade wszystko uwielbił rozum jako nieomylną zasadę ludzkiego postępowania i myśli".

Str. 264: „Barbarzyńcy i Rzymianie rodowici podzielali wiarę poety, że Rzym jest wiekuistą matką, która przyjęła ludzkość na swe łono. Rozmaitość pochodzenia ludzi panujących w Rzymskim cesarstwie od czasów Nerwy potwierdzała tę prawdę. Nigdy przedtem ani potem tyle różnych ras nie było połączonych węzłem wspólnego obywatelstwa. Zachowywały one wiele obyczajów przodków ujarzmionych przez legiony, szczególniej na prowincji. Wielu siebie uważało za lepszych niż sąsiedzi, ale wszyscy uważali się za obywateli jednego wielkiego miasta. W zasadzie byli zadowoleni ze wspólnego rządu, choć się czasem spierali co do wyboru głowy. Przez pięć wieków dowiedli, że potrafili żyć w spokoju pod wspólnymi prawami. Czyniąc tak, urzeczywistniali to braterstwo ludzi, którego stoicy nauczali, a chrześcijanie głosili słowem i przykładem. Pomimo wszystkich błędów rzymscy obywatele pozostawili po sobie ideał zjednoczonej ludzkości".

Str. 344: „Krucjaty były najbardziej typowym wyrazem średniowiecznego ducha. One ujawniają połączenie i kontrast pobożności i miłości walki, oddania się wysokiemu ideałowi i zapamiętałego okrucieństwa, upodobania przygód, młodzieńczej porywczości i zabobonów. Dla feudalnego rycerza, wyćwiczonego w zapasach wojennych, jak jego teutońscy przodkowie, krucjaty dawały sposobność walki i wyróżnienia się. Krucjaty były po części dalszym ciągiem dawniejszych wędrówek barbarzyńców i wznowieniem starć między chrześcijanami a muzułmanami, między Europą i Azją.

Dla Kościoła wyzwolenie Ziemi Świętej z rąk niewiernych było świętą sprawą. Władzy papieskiej krucjaty dawały sposobność kierownictwa i nadzieję urzeczywistnienia powszechnego Kościoła. Kupcom krucjaty otwierały drogę na Wschód i sposoby zysku. Dla bezdomnych i wędrowców zrujnowanych przez wojnę, głód lub ucisk — a było wielu takich w wiekach średnich — krucjaty otwierały wyjście z trudnego położenia i nadzieję poprawy losu. Wszystkim dawały możność pokuty za grzechy popełnione i pozyskania błogosławieństwa Kościoła w wędrówkach i pracach. Nie można było oprzeć się powołaniu. „Bóg tak chce" było hasłem Krzyżowców".

Str. 352: „Przez religię średniowieczną Europa zachowała jedność, która później zanikła. Był jeden Kościół na Zachodzie, jeden pogląd na świat doczesny i na życie przyszłe, jedna hierarchia od Papieża do najskromniejszego proboszcza lub sługi kościelnego, jeden język międzynarodowy, jedna wspólna księga, jeden ideał rycerstwa, jedna droga zbawienia. I całe kulturalne życie Średniowiecza, nauka i wychowanie, uniwersytety, architektura i sztuka, a w znacznej mierze i literatura były związane z życiem Kościoła i z religią".

Str. 398: „Niema wątpliwości, że wielkie zmiany zaszły w zachodnich społeczeństwach w XV i XVI wieku, i to pod wszelkim względem. Przede wszystkim nastąpiło wielkie ożywienie umysłowego, literackiego i artystycznego życia we Włoszech, a następnie w całej Europie. Ten ruch był więcej krytyczny, więcej naukowy i wynalazczy niż w poprzednich wiekach. Stąd powstały nowe poglądy na świat, nowe wynalazki, jak druk i odkrycia nieznanych przedtem krajów. Te zmiany odbiły się nieuchronnie na religii. Papiestwo i Kościół potrzebowały reformy, i nowy humanizm krytycznie się odnosił do przyjętych wierzeń. W Niemczech pewien mnich, nazwany Marcin Luter, protestował przeciw sprzedaży odpustów, i przez to wywołał burzę Reformacji. Szerząc się po całej zachodniej Europie, wkońcu ta rewolucja podzieliła na stałe Zachodnie Chrześcijaństwo na protestantów i katolików, a ci ostatni zostali na nowo ożywieni i zorganizowani przez Reformację w łonie Kościoła".

Str. 575: „Wiek XIX był więcej skomplikowany i pełen zmian niż jakiekolwiek stulecie poprzednie. Odziedziczył on rozszerzoną wiedzę naukową, nowe metody przemysłowe, nowe wyobrażenia i doświadczenia rządów społeczeństwa w Starym i w Nowym Świecie. Zachodni Świat obejmował nie tylko Europę ale i Amerykę".

Str. 699: „Koniec wojny wszechświatowej sprowadził śmiertelną ciszę na Europę. Różne ludy zmobilizowały 65 milionów ludzi i nie mniej niż 8 milionów młodych i najzdrowszych zabito. Nadto 20 milionów było rannych. Znaczna część Francji i Belgii doznała doszczętnego zniszczenia, niektóre wioski zupełnie znikły, a oprócz strat w bitwach straty wskutek chorób i głodu dorosłych oraz braku odżywiania dzieci wszędzie były nieobliczalne, szczególniej we wschodniej Europie.

Także wydatki pieniężne były ogromne. Wiele okrętów zatopiono, handel został ograniczony, a normalne życie ekonomiczne i produkcja zostały zdezorganizowane.

Europejska cywilizacja, owoc tylu wieków rozwoju, przez cztery lata użyła wszystkich sposobów, aby się zniszczyć, i dzięki skuteczności zniszczenia osiągnęła w tym znaczny stopień powodzenia".

Str. 732: „W miarę jak dzieje ludzkości się przedłużały, świat stawał się mniejszym. Dziś można ziemię okrążyć w kilku dniach. Nie ma żadnej części ziemi nie zbadanej, od bieguna do bieguna. I takie połączenie wszystkich części świata nieubłaganie rzuca światło na całość dziejów. Rzeczywiście wszechświatowa historia dopiero się rozpoczyna. Dotąd mieliśmy historię odosobnionych krajów, rodzin, plemion, miast, narodów i kontynentów. Teraz musimy sięgnąć szerzej. Tak jak w Rzeczypospolitej Platona jego obywatele musieli wyzwolić się z jaskini, aby ujrzeć świat prawdziwy, podobnie nasi przodkowie musieli opuścić swe jaskinie, aby stać się Grekami i Rzymianami, a później uczestnikami nowoczesnej, zachodniej cywilizacji, a teraz my musimy wyjrzeć z narodowych jaskiń na szerszy świat dzisiejszy i jutrzejszy.

Bo niezależnie od tego, czy nam się to podoba, historia świata kroczy dalej, podobnie jak ziemia obraca się w swej nieustannej wędrówce przez bezmiary przestrzeni. Świat, jak pewien współczesny uczony nam przypomina, ma przed sobą rozwój, którego nic nie może powstrzymać.

A szybkość przemian także wzrasta. Dawniej ludzie mogli myśleć o swych ciaśniejszych społeczeństwach jako zmieniających się bardzo powoli w ciągu długich epok, prawie niepostrzeżenie. Dziś jesteśmy zmuszeni myśleć o zmianach na daleko większą skalę i w przyśpieszonym tempie. Tylko przez głębsze ujęcie historii powszechnej, możemy przystosować nas samych oraz całe społeczeństwa do tej nowej skali i przyśpieszonego tempa".

Na tych przykładach rozważań ogólnych widzimy ton całego dzieła, objektywny, opanowany, bez uprzedzeń partyjnych, sekciarskich, lub narodowych... Dobór 32 map kolorowych i 300 ilustracyj wielce ułatwia zrozumienie tekstu.

Możemy porównywać rysy znakomitych ludzi od Hammurabi Senusreta III. Thutmoza III, Akhnatona i jego przedziwnej małżonki Nefretiti, którzy żyli przeszło 33 wieki temu, aż do Solona, Sokratesa, Platona, Peryklesa, Alcybiadesa, Eschyla. Arystofanesa, Tucydydesa, Eurypidesa. Demostenesa, Aleksandra Macedońskiego w Grecji, i poprzez wieki średnie, aż do Sunjatsena. Lenina, Stalina, Mussoliniego i Hitlera. Są też liczne dzieła sztuki, poczynając od sławnego żubra, przechowanego od kilkudziesięciu tysięcy lat w jaskini w Altamira w Hiszpanii, aż do różnych egipskich i greckich rzeźb i późniejszych sławnych obrazów, jak *Mona Lisa* Leonarda, *Ukrzyżowanie* Dürera, *Zdjęcie z krzyża* Rubensa, *Rada Miejska* Rembrandta. Mamy widoki sławnych miejscowości, jak Akropolis, Olympia, Marathon, Alhambra, barykady w Paryżu, Pałac Ligi Narodów w Genewie i t. p. Mamy także obrazek przedstawiający Polaków gnanych na Syberię w 1863 roku, wyjęty z ówczesnego angielskiego pisma. Możemy podziwiać kontrast między rysami Jana Sobieskiego a Fryderyka Pruskiego. Jest obraz egzekucji Ludwika XVI i koronacji Napoleona, a także pierwszej próby śpiewu *Marsylianki* przez jej autora Rougeta de Lisle wobec grona słuchaczy. W rzędzie takich obrazów różnych doniosłych zdarzeń mamy podpisanie deklaracji niepodległości Stanów Zjednoczonych, a także pokoju w Wersalu i układu w Locarno.

O rozbiorach Polski czytamy:

Str. 614: „Katarzyna była po części odpowiedzialna za rozbiory Polski w 1772, 1793 i 1795 r. i Rosja zapewniła sobie największą część tego nieszczęśliwego królestwa. Rosyjskie wpływy przeważały już w rozdartej wewnętrznie Polsce, gdzie Katarzynie udało się umieścić swego polskiego faworyta, Poniatowskiego, na tronie; nie miała ona skrupułów, gdy jej Fryderyk pruski zaproponował rozbiory, pragnąc połączyć Prusy Wschodnie z resztą swego państwa. W ten sposób zyskał Prusy Zachodnie, Maria Teresa z wątpliwościami i wyrzutami sumienia zabrała Galicję, a Katarzyna przesunęła swe granice daleko na zachód. Gdy raz się ten proces zaczął, dalszy ciąg nieuchronnie nastąpił, w drugim rozbiorze dokonanym przez Prusy i Rosję, a gdy to spowodowało ostatnie powstanie pod wodzą Kościuszki, unicestwienie Polski zostało dokonane przez trzeci i ostatni rozbiór. W ten sposób Polska znikła z mapy Europy na wiele lat. Ale rozbiory zbyt wyraźnie ukazały braki monarchicznego oświecenia. Nim zostały ukończone, wybuchła francuska rewolucja, która zagroziła zniesieniem monarchii w całej Europie, i historia następnego stulecia miała dowieść, że choć Polskę można było rozebrać, nie można było jej skutecznie pochłonąć ani na stałe zniszczyć jej narodowości".

Równie bezstronnie jest przedstawione utworzenie Księstwa Warszawskiego, powstanie Listopadowe i Styczniowe, a nareszcie wskrzeszenie państwa polskiego. Natomiast bitwa pod Warszawą uszła zupełnie uwagi autora. Wspomina tylko, że bolszewicy zawarli pokój z Polską w 1920 r., ale bez wzmianki o tem, że zostali sromotnie pobici.

Jeśli jednak weźmiemy pod uwagę, że na 732 str. po 42 wiersze dany jest obraz 60 wieków historii, to nawet z uwzględnieniem szerszego traktowania czasów nowszych — wiek XIX zajmuje 102 str. a 1/3 wieku XX — 50 str. —to przy tak rozległych widnokręgach i przy głównie zwróconej uwadze ku przyszłości, pokój zawarty po klęsce może się wydawać ważniejszym niż sama przegrana bitwa, która ten pokój spowodowała.

Na wszystkie zdarzenia na kuli ziemskiej w ciągu jednego roku przypada 1½ str. w XX wieku, 1 str. w XIX w. a po 4 wiersze w wiekach poprzednich. To nam ukazuje całą trudność wyboru najdonioślejszych wypadków. Bitwa pod Wiedniem w 1683 roku zajęła 5 wierszy, i cała zasługa zwycięstwa została przypisana „umiejętności i bohaterstwu króla polskiego, Jana Sobieskiego" — wbrew niemieckim pretensjom.

W dziejach nowożytnych spotykamy nawet reprodukcje karykatur z pism humorystycznych, dotyczących różnych wypadków.

Historia wszechświatowa, napisana przez Flenleya i Weecha, jest książką zajmującą i pouczającą a wartość tego dzieła można najlepiej ocenić przez porównanie z historia powszechną Wellsa, wydana w 1920 r. U Wellsa znajdujemy bardzo wiele stronniczych opinij, a daleko mniej objektywnych faktów i trafnych konkluzyj, niż w tym najnowszym opracowaniu dziejów, którego tak umiejętnie i rozważnie dokonali Weech i Flenley.

Należy się wielka wdzięczność firmie wydawniczej Dent & Sons za taki trafny dobór współpracowników w systematycznym dążeniu do rozpowszechnienia wiedzy w najszerszych kołach. Ta sama firma wydała encyklopedię powszechna w dwunastu tomach za cenę niesłychanie niską 66 szyl. (88 zł.), czyli znacznie taniej niż podobne encyklopedie Brockhausa, Meyera lub Larousse'a. Drobiazgowa oszczędność wyrazów, unikanie wszystkiego co błahe lub zbyteczne, a staranne gromadzenie faktów godnych uwagi, osiągnęły ten rezultat, że ogrom rzadko dostępnej wiedzy został uprzystępniony w prosty i jasny sposób najliczniejszym czytelnikom. Jest to na bardzo wielką skalę coś podobnego jak u nas wydawnictwa księgarni Arcta.

Działalność, rozszerzająca umysłowe widnokręgi mas, a szczególniej ukazywanie całej kolei wysiłków ludzkich, które stopniowo życie na ziemi doskonaliły, stanowi najlepsze zabezpieczenie pokojowej ewolucji kulturalnej w przeciwstawieniu do fanatycznych zacietrzewień, które prowadzą do wojen i zniszczenia dorobku cywilizacji.

Polskie wydanie dzieła Weecha i Flenleya byłoby wielce pożądane. U nas nieprędko podobne dzieło może powstać, gdyż wewnętrzne rozterki i zewnętrzne niebezpieczeństwa pozbawiają nas takiej bezstronności i spokojnego rozważania, na jakie można łatwiej się zdobyć, patrząc na europejskie spory i zawichrzenia z daleka. Choć przy takiej odległości można przeoczyć jakiś dla odległych ludów ważny fakt, to tego rodzaju dzieło zyska na opracowaniu go przez kompetentnych historyków w różnych językach, z uzupełnieniami z punktu widzenia poszczególnych narodów. Te uzupełnienia stopniowo byłyby wcielane do nowych wydań oryginału, jak to się nie raz działo z podręcznikami różnych nauk, żywo napisanymi przez Francuzów, a gruntownie przerabianymi i uzupełnianymi przez Niemców.

Takiego powodzenia godzi się życzyć najnowszej *Historii Świata*.

WINCENTY LUTOSŁAWSKI

T E A T R

TEATR NARODOWY: *Głupi Jakób*, komedja w 3 aktach TADEUSZA RITTNERA, reżyserja Edmunda Wiercińskiego, dekoracje Stanisława Śliwińskiego.

Gdyby wszystkie sztuki, ostatnio wznawiane gromadnie, wracały na scenę tak opromienione artyzmem jak ten dramat Rittnera, nie byłoby powodu do zmartwień, że teatr opadł z sił i że swój obowiązek odrabia bez zapału i bez przekonania, byle zwalić ciężar z karku. Wznowienie *Głupiego Jakóba* może się wylegitymować czemś więcej niż zrozpaczoną kalkulacją: „a nuż to wreszcie chwyci", albo jałowym zamiarem uczczenia jeszcze jednej rocznicy. Przynosi bowiem istotnie wielką kreację aktorską, jedną z tych, dzięki którym teatr polski umiał przetrwać okresy nieurodzaju na talenty dramatyczne i żyć w ciężkich latach zamożnie, jakby ponad stan swego czasu.

Użyte tu słowo „wielka kreacja" niewiele ma w sobie dzisiaj tej świeżości, któraby pozwoliła ofiarowywać je raz na parę lat jak laur olimpijski — zszargało się zupełnie w usługach pochlebstwa, wylachało się i zużyło latając na posyłki dziennikarskie. Dla oceny gry Junoszy-Stępowskiego należy więc temu wymęczonemu słowu przywrócić znaczenie pierwotne, nadać znowu sens wyjątkowy. Patrzymy bowiem na kunszt aktorski najwyższej próby, doprawdy klasyczny w swojej wstrzemięźliwości, opanowaniu i celowości. Maska, opracowana z charakterystyczną dla Junoszy umiejętnością i pasją transformacji, ożywia się ledwie kilku ruchami: uniesieniem brwi, spojrzeniem ponad okulary, zacięciem ust. Ręce, często założone wtył, ani razu nie posuwają się do gwałtownego gestu. Głos, głuchy i spokojny, rzadko przechodzi w tony ostrzejsze, nigdy nie wznosi się do krzyku. Zdawałoby się, że złoży się to na postać spokojną i martwą, jeśli wyrażającą jakieś uczucia, to chyba uczucia samej ponurości i przygnębienia. Tymczasem — i to właśnie tajemnica wielkiej sztuki — takie ujęcie wydobyło, jak żadne inne, tragizm postaci — tragizm, a więc bunt, rozpacz, gniew, uczucia gwałtowne i zazwyczaj lubujące się w dosadności wyrazu. Świadome wyswobodzenie postaci tragicznej z patosu, z dostojności cierpienia, z kabotynizmu „ofiary", nadało jej jakąś ludzką, przejmującą prawdę. Szambelana, tak bliskiego „ducha" dramatu, nie było jeszcze na deskach sceny.

Bywali zaś niebyle jacy. Występował tu przecież przed laty, skurczony w swym brudnym szlafroku, zły i plugawy starzec Kamińskiego — nadmiernie aktywny, chwytający w drapieżne ręce losy ludzkie już rozstrzygnięte w górze... przez autora, wnoszący okrucieństwo tam gdzie był tylko bezbrzeżny smutek. Potem zastąpił go biegunowo różny senator Frenkla, o bogatej i nieco rozlewnej uczuciowości, niemal o „złotem sercu", sam najbardziej godzien współczucia. Przy obu tych sposobach ujęcia paczyły się wyraźnie ściany dramatu. Teraz wracają do swych bardzo zrównoważonych proporcyj.

Piękne linje tej najlepszej sztuki Rittnera wystąpiłyby jeszcze wyraźniej, gdyby reżyserowi, montującemu przedstawienie z wrażliwością i kulturą, udało się podporządkować temu stylowi gry cały zespół. Ale nie udało się. Znakomitą partnerkę znalazł Junosza tylko w Marji Dulębie — Marta była nieodrodną siostrą szambelana; równie jak on cicha i obumarła, tak samo pod tą maską znużenia kryła złą wrogość dla ludzi i gorycz niezrealizowanych pragnień. — Ci dwoje właściwie musieli wziąć na siebie cały pesymizm dramatu, że oto życie jest tak męczące, jałowe i niepotrzebne, a mimo to warte, aby czepiać się go bodaj nadzieją i złudzeniem. Inni wykonawcy, przynajmniej ról głównych, nie umieli poddać się tej atmosferze.

Maszyński (Teofil) stworzył przy pomocy szwarcowanych wąsów, kurtki o żołnierskim kroju, pociągnięć nosem, zająkiwań, postać o wielkiej sile komicznej, wywołującą przez tę swoją zalęknioną buńczuczność częste wybuchy śmiechu; ale że ta postać była tylko komiczna i że wywoływała śmiech w chwilach najmniej odpowiednich (np. przy dostojnem odejściu w akcie 3), źle spełniała swe zadanie w całości. — Młodzi: Romanówna (Hanka) i Hnydziński (Jakób) po prostu, bo co tu bawić się w ciągłe dygi, nie podołali zadaniu: wnosili fałszywą hałaśliwość, mającą świadczyć o ich przynależności do innego „żywego" świata — a świadczącą tylko o nieumiejętności ukrycia swojej sztuki, realistycznego stuszowania gry.

Zapewne w pomyśle reżyserskim miała ta hałaśliwość być wtargnięciem wiosennego prądu powietrza do zatęchłego, oddawna nieprzewietrzanego domu. W realizacji, która wbrew najlepszym chęciom inscenizatora chodzi własnemi drogami, wypadło to tak jak z dekoracją sceny: szarość i smutek pokojów w tym starym dworze winny były narzucać się widzowi tem silniej, że za oknami dano zieleń i słońce. Otóż w tym smutku

i szarości wnętrz był celowy ład, wysiłek artystyczny; natomiast za oknami tkwiły nieruchomo na kijach okropne liście z papieru — dosadny wyraz „teatralnego“ fałszu i konwencjonalizmu. W upozowanej na „żywotność“ grze Hnydzińskiego i Romanówny było sporo takich właśnie liści.

BOHDAN KORZENIEWSKI

*

JULJUSZ STEFAN PETRY. *Lwie serca. (Warwas).* Widowisko heroi-komedjowe w 4 częściach. Lwów 1936. „Reduta — Tydzień Polski“.

Widowisko sceniczne Petrego budzi zainteresowanie przedewszystkiem dzięki relacjom literackim, które *Lwie serca* łączyć mogą z tekstami teatru XVI i XVII wieku. Charakter tego powinowactwa jest niezupełnie zdecydowany — i powierzchowny. Z komedją rybałtowską utwór Petrego wiąże najmocniej postać Albertusa — figura komiczna, która byt literacki zawdzięcza komedjom XVII w. — *Wyprawie plebańskiej* i *Albertusowi z wojny*, „uosobienie próżniactwa, tchórzostwa i samochwalstwa“ — jak mówi Badecki. W widowisku Petrego Albertus jest statystą, a jego tradycja historyczna nie zostaje wyzyskana. Komedja rybałtowska w okresie najwyższego rozwoju ma tendencje wyraźnie satyryczne, jest mniej rozrywką, więcej narzędziem rozprawy. Zdarzenia aktualne dostarczają jej obyczajowej i społecznej osnowy. Lekkość i niefrasobliwość utwór Petrego zdaje się zawdzięczać raczej komedji *dell'arte*, jeśli pominąć właściwe dworskiemu teatrowi postaci bohaterów o fantastycznem istnieniu: królowe Morilindy, księżnicki Ermidy; postaciami naczelnemi *Lwich serc* są przedstawiciele warstwy mieszczańskiej. Zakrój sceniczny widowiska oddala je także od komedji rybałtowskiej — komedja rybałtowska nie powstała jako tekst dla teatru, lecz jako tekst o autonomicznym bycie literackim. Komedji *dell'arte* zdaje się zawdzięczać widowisko, prócz interludjów baletowych, również osobę Warwasa. Rodowód Warwasa — wesołka da się wyprowadzić z komedji włoskiej; poprzednikami Warwasa byli zapewne *zanni*, aktorzy komiczni, którzy przerwy w wątku dramatycznym wypełniali improwizowaną farsą.

Niewątpliwie, krok autora został postawiony w kierunku szczęśliwym — jeśli spojrzymy od strony teatru. Materjał komedji rybałtowskiej uległ w swoim czasie skostnieniu — i nie został dostrzeżony w wieku XVIII, gdy rodziła się na wzorach francuskich nowa komedja polska. Dziś dostrzec nietrudno, ile teatralnego uroku mają siedemnastowieczne komedje — mimo braku powikłań dramatycznych. mimo długich tyrad. Ten urok da się sprowadzić do praw podbijających świeżości: teatrem tym rządzi świadomość niezależności od spraw potocznych świata rzeczywistego, świadomość odrębności sztuki. Autor dostrzegł tę współczesność dawnego teatru; jego widowisko odległe jest od troski o postulaty naturalistyczne — i tu źródło pewnej atrakcyjności *Lwich serc.*

W. PIETRZAK

IDEE

KAZIMIERZ WYKA: *Prądy duchowe wśród młodzieży francuskiej.* Warszawa 1935. Odbitka z Nr. 4 *Marcholta.*

Mechanistyczna i ilościowa koncepcja świata, pod znakiem której — jak mówi Suchodolski — coraz wyraźniej kształtuje się współczesna cywilizacja, przynieść powinna w swym ostatecznym rezultacie całkowitą bierność sił duchowych oraz zautomatyzowanie całej działalności człowieka. Zamknięci w twardych i bezwzględnych ramach produktywizmu, przeświadczeni o jego supremacji nad wszystkiemi innemi odcinkami naszego aktywizmu, popadamy w coraz większą bierność, zapominając, że „człowiek to rzecz święta, której nikomu krzywdzić nie wolno“.

Jak niezwykle palącą kwestją jest walka z biernością i obrona przed wszelkiemi formami ucisku i ograniczenia działań i myśli jednostki, świadczy właśnie studjum Kazimierza Wyki. Mimo, że autor zastrzega się w przedmowie, że obserwowane przezeń przemiany są samorodnem zjawiskiem wśród młodzieży francuskiej, odróżniającem ją od innych krajów, stwierdzić należy jaknajdalej idące paralele z polską myślą społeczną i kulturalną. Zbieżność tematyczna artykułów Bohdana Suchodolskiego („U źródeł techniki“, „Rodowód współczesnej techniki“, „Walka z maszyną“ i „W sidłach produktywizmu“ — *Pion* 1934—1935) z wypowiedziami Arona czy Dandieu, podkreślona zresztą przez autora, nie jest dziełem przypadku. Wskazuje ona, że zwrot ku człowiekowi (nie „szaremu człowiekowi z tłumu“ lecz silnie zarysowanej indywidualności jednostkowej) jest zjawiskiem powszechnem, niezależnem od istniejących w danem społeczeństwie form politycznych, gospodarczych i społecznych. Ruch młodzieży francuskiej, oparty na krytyce ustroju, sięga bardzo daleko. Nie waha się nawet przed namiętnym atakiem na demokratyzm, tak doskonale dopasowany do drobnomieszczańskich zamiłowań rentjerskich sfer współczesnej Francji. Ustrój demokratyczny, zdaniem całej młodzieży francuskiej, nie wyraża pełnego człowieka. Dając mu szereg pozornych praw, uświęconych tradycją rewolucji i Bastylji, ogranicza właściwie zasięg jego działalności do głosowania, płacenia podatków czy odbywania służby wojskowej. Winę ponosi tu przedewszystkiem pieniądz, który doszczętnie zmechanizował i wyjałowił współczesne społeczeństwo francuskie. Dla młodych finansowe i społeczne autorytety Francji to tylko „barbarzyński świat“, który doprowadził do rozkwitu szowinistycznego patrjotyzmu, ugodowości w życiu, jałowości krytyki i konformizmu w sztuce. Genezą zła jest niesłychany rozwój wytwórczości. Każdy nowy wynalazek wtedy tylko uznany zostaje za celowy, jeśli spotęgować może możliwości produkcyjne lub rozszerzyć światowe możliwości handlowe. Takie pojęcie zadań produktywizmu doprowadziło do paradoksalnej sytuacji: produktywizm miast opiera się tylko na technicznych możliwościach produkcji (Daniel Rops: *Elements de notre destin*). Powstaje więc błędne koło wzajemnej zależności wzrostu wytwórczości i bogactwa ogólnego przy zupełnem pominięciu możliwości konsumcyjnych. W takim systemie gospodarczo-społecznym jedynym obowiązkiem i zadaniem człowieka jest jaknajwięcej spożywać, celem zwiększenia produkcji. Przy tym stanie rzeczy najistotniejszy element tego układu — p r a c a l u d z k a — spada do znaczenia wydajności i zyskowności, niemal do niewolnictwa ekonomicznego. Teorje te nie mają jednak nic wspólnego z marksizmem. Krytyka ustroju ma swe źródło raczej w uczuciowości i moralności nadchodzącego pokolenia. Młodzi Francuzi sięgali dalej. Przez analizę różnych ustrojów państwowych — od państwa totalnego do federacji republik radzieckich — przez analizę stosunku państwa do człowieka i jego pracy udowadniają istnienie kapitalistycznego dziedzictwa komunizmu, przejawiającego się w ostatecznem przekreśleniu swobodnej osobowości ludzkiej. Człowiek pozbawiony jest własnego stosunku do życia, własnego indywidualnego oblicza. Z równie silną krytyką występują oni w stosunku do wszelkich form faszyzmu. Istotą spoistości narodu są nie irracjonalne i mistyczne związki krwi czy rasy, lecz wspólność dóbr kulturalnych, wytwarzanych przez kolejno po sobie następujące pokolenia. Tak wygląda negatywna strona programu młodzieży francuskiej. Zadania na przyszłość — to odbudowanie cywilizacji drogą wytworzenia nowego społeczeństwa, w którem człowiek będzie mógł żyć i rozwijać się w swobodzie. Głównym więc celem walki jest wyswobodzenie osobowości ludzkiej z jarzma zmechanizowanej kultury i wzmocnienie zależności między człowiekiem i jego dziełem, wytworzenie pełnej i zharmonizowanej jednostki. W tej właśnie, pozytywnej części programu idee młodzieży francuskiej posiadają najwięcej cech realnych, stają się ideami ogólnoludzkiemi.

ALEKSANDER CZYŻEWSKI

PODRÓŻE

BRONISŁAW KRYSTYN WIERZEJSKI: *Forty na piasku.* Warszawa 1936. Trzaska Evert i Michalski.

Zaczęło się od tego, że niejaki Marcello Farina, Włoch oczywiście, miał zdawać egzamin z matematyki handlowej, i — wbrew najbardziej pesymistycznym przewidywaniom — zdał go nienajgorzej. Człowiek szczęśliwy ma jak wiadomo zazwyczaj gest szeroki i serce dla przyjaciół otwarte, więc ów Marcello, szalejący z radości, szukał tylko kogoby tu uradować z kolei, a wybór jego padł na kolegę Polaka. Popijając wermut w kawiarni rzymskiej, Włoch raptem zawołał:

— Przyjedź na ferje świąteczne do mnie, do Tripoli, a pokażemy ci naszą pracę kolonjalną, to jest naprawdę ciekawe i godne zobaczenia.

Marcello bowiem, jakkolwiek urodził się pod Wezuwjuszem, dwadzieścia jeden lat życia spędził w Trypolisie. Kolegą, którego zapraszał tak gościnnie, był Bronisław Wierzejski, również odbywający studja w Rzymie, i oto jak z pomyślnego egzaminu młodego Włocha powstała niniejsza książka.

Autor bawił w Afryce parę miesięcy, od stycznia do kwietnia 1934 roku, będąc zaś człowiekiem młodym, zdrowym i energicznym, a przytem opanowanym żądzą wiedzy i przygód, uzyskał od władz włoskich prawo posługiwania się wojskowymi środkami lokomocji, zwiedzając w ten sposób znaczny obszar napoły tylko cywilizowanego kraju. Z Trypolisu daleko na południe, poprzez oazy i fortalicje, ziemią przeważnie dziką i pustynną wiódł ten zajmujący szlak, mierzony zazwyczaj kołami aut ciężarowych. Aparat fotograficzny i notatnik wiernie towarzyszyły autorowi.

Czegóż-bo niema na dwustu blisko stronach tej zajmującej książki! Przyjazd nowego gubernatora Libji, marszałka Italo Balbo; praca pionierska Włochów, której w związku z podbojem Abisynji tem ciekawiej jest obecnie przyjrzeć się zbliska; a obok tego spostrzeżenia tyczące klimatu, flory i fauny, drobne przygody osobiste, fragmenty rozmów z tubylcami, przypadkowe spotkania, opisy uroczystości religijnych i pospolitych jarmarków. Może już zbyt wielki panuje w tem wszystkiem chaos, może zbyt małe zróżniczkowanie spraw błahych i ważnych, niedość wyraźny podział na rzeczy, które raczej tylko autora powinny obchodzić bliżej i na takie, o których my także radzibyśmy się dowiedzieć czegoś więcej. Jakiekolwiek jednak możnaby tu poczynić zarzuty, nie ulega żadnej kwestji, że Bronisław Wierzejski ma dużą łatwość stylu, skory, choć nie zawsze wyszukany dowcip, że

SPOJRZENIA W RZECZYWISTOŚĆ

Pierwsze wystąpienie wobec Sejmu premjera gen. Sławoj-Składkowskiego było mocne i zwarte. Streścić je wypada jak następuje: 1) Obok formalnej, konstytucyjnej Władzy Prezydenta Rzeczypospolitej posiadamy najwyższy autorytet moralny — następcę Marsz. Piłsudskiego w osobie gen. Śmigłego-Rydza. 2) Rząd obecny pod względem politycznym zajmuje stanowisko obozu majowego i nie pójdzie na kompromis ani z lewicą t. j. PPS, która „zawiera pakt nieagresji z komunistami“, ani z PSL, domagającem się amnestji dla t. zw. więźniów brzeskich, ani też z ND — na prawo. 3) Rząd będzie zajmował zawsze stanowisko racji stanu Polski. 4) Na pierwszy plan zostaje wysunięte zagadnienie obrony państwa i zwalczenie bezrobocia. 5) Metoda rządzenia będzie oparta o pełnomocnictwa ze względu na konieczność szybkich decyzyj. 6) Represje będą kierowane przeciwko winnym, nie przeciwko narzędziom nieświadomym. 7) Swoboda słowa zostanie rozszerzona.

Stanowisko to spotkało się z burzliwą owacją w Sejmie.

Gen. Sławoj-Składkowski prosił o pozostawienie oklasków na chwilę, gdy przełamie bezrobocie. Lojalnie wypełniamy to życzenie p. Premjera, ufając jego energji.

Energja ta jest potrzebna. Ale potrzebna jest mobilizacja opinji publicznej i w innych kierunkach. Proces o zajścia w Przytyku, wypadki w Mińsku Mazowieckim, bicia Żydów, o których ze zgrozą donosi *Nasz Przegląd*, a z odcieniem zadowolenia prasa narodowa, powinny obudzić czujność. Jest w tem dużo rozbestwienia niegodnego cywilizowanej społeczności. Nie apelujemy ani do policji ani do sądów. Władza robi swoje.

Wytworzony został specyficzny nastrój. „Wprawdzie, powiada się, wszelkie wybryki godne są kary i potępienia, ale przecie... Żydzi...“ i następuje wyliczanie grzechów. Społeczna struktura Żydów jest niezdrowa, ich rola gospodarczo jest szkodliwa itd. itd. Wszystko to wiemy i na wiele z tych zastrzeżeń trzeba przystać. Ale nie o to chodzi.

Zagadnienie polega na tem, czy mamy się Żydów pozbyć, czy musimy z nimi współżyć. I dalej: — pozbyć się — to znaczy wymordować, albo wysiedlić. Pierwsza droga bez względu na jej wykonalność — to „zbandycenie“ społeczeństwa polskiego, przekreślenie wszelkich jego wartości, a więc zagłada. To nadewszystko absurd. Druga, wysiedlenie, zalecane przez optymistów syjonistycznych, wedle dotąd poczynionych doświadczeń z emigracją, kosztować musi dla trzech miljonów ludności około 15 miljardów złotych pod warunkiem, że akcja ta będzie nadto finansowana przez międzynarodowe żydostwo. Bez tego — jeszcze drożej. A więc bez względu na istnienie odpowiedniego terenu — jest to też absurd gospodarczy. Musimy zatem niestety współżyć z Żydami. A jeżeli tak — trzeba ułożyć program współżycia — program, realizowany przez Rząd i przez społeczeństwo.

Wytyczną może stanowić jedynie zróżnicowanie społeczne masy żydowskiej. Proces ten postępuje zbyt wolno i zbyt anarchicznie. Prężność spółdzielczości, imigracja żywiołów wiejskich do miasta wypierają Żydów z coraz większej ilości placówek. Ich przewaga np. w handlu zniknie bardzo szybko. Prowadzi to do pauperyzacji mas żydowskich. I znowu: powtarzać, że pachciarz to pasorzyt, że lichwiarz to pasorzyt, że pasorzytem jest handlarz zbożowy — to mało. Trzeba uczynić ich nie pasorzytami, trzeba umieścić ich tak, by stanowili czynnik możliwy w całości gospodarki. Trudność potęguje to, że w sferach żydowskich niema zrozumienia dla tej sytuacji.

Zwalczanie barbarzyńskiego antysemityzmu drogą samego odwoływania się do uczuć ludzkich nie wystarcza. Trzeba uzgodnić program postępowania. I jest to rzecz pilna — bo na takich Przytykach *(nomen omen)* poszkodowany jest nie tylko pobity, ale i — honor Polski.

A skoro o procesach mowa, niesposób pominąć i procesu w Katowicach. 115 członków ruchu narodowo-socjalistycznego stanęło przed sądem pod zarzutem tworzenia spisku, celem oderwania tej dzielnicy od Polski i przyłączenia jej do Rzeszy. Oderwanie Śląska... Bierzemy do ręki dane ostatniego spisu ludności. Miasto Chorzów — 87% Polaków, Cieszyn — 86%, a powiat 99%, Katowice — 84% (powiat — 98%), Mysłowice — 89%, Siemianowice — 92%, Lubliniec miasto — 95%, wieś — 98% i tak wszystko. I w tych warunkach można mówić o oderwaniu Śląska przez powstanie zbrojne miejscowej ludności! A przywódcą tego niemieckiego ruchu jest... Zając, a jego towarzysze nazywają się Maniura, Bednarski — a patronuje temu urzędnik niemiecki — Kozub. Istotnie! Najczystsza krew niemiecka. Jak na ironję losu w sądzie zasiada dr. Artzt! Oj, ci rasiści!

Ale mniejsza oto. Powiedzmy, że ci Zające i Bednarscy to czystej krwi Niemcy. Nic o to nam chodzi. Faktem jest, że spisek jest, że spisek ten odbywa zebrania na terytorjum niemieckiem, że biorą w nich udział urzędnicy niemieccy, że rozwija się on w atmosferze obietnic dostarczenia na czas broni i... zbrojnych bataljonów — też z Niemiec. A teraz, odrywając się od Śląska, uprzytomnijmy sobie owe malowane na okrętach niemieckich mapy propagandowe, anektujące z powrotem dla Niemiec były zabór pruski — a zrozumiemy, że są na zachodzie naszym czynniki obce porozumieniom zawieranym, że tych czynników tam nie umie się trzymać w ryzach.

Proces katowicki przypomina nam tak czy inaczej o postulacie obrony Polski i zupełnie tłumaczy powszechny ruch ofiarny na rzecz Funduszu Obrony — choć wolelibyśmy zwrócić cały ciężar uwagi na niedomagania wewnętrzne, choć wolelibyśmy te pieniądze dać na szkoły, na inwestycje kulturalne, na wszystko, co nam do życia jest niezbędne, nieodzowne.

W tej dziedzinie zresztą praca nie ustaje. Właśnie w zeszłą niedzielę obchodziła Polska święto spółdzielczości i obchodziła je uroczyściej niż kiedykolwiek. Na podniesienie zasługuje bardzo żywy udział rządu w tym obchodzie. Wystawę obrazującą rozwój spółdzielczości spożywczej otworzył wicepremjer p. inż. E. Kwiatkowski, przyczynili się do uświetnienia uroczystości min. Poniatowski, wiceminister Lechnicki i cały szereg innych dostojników Rzeczypospolitej. Była to manifestacja uznania dla dotychczasowych zdobyczy tego ruchu i nadziei, pokładanych w nim na przyszłość. Było w tem stwierdzenie faktu, że organizacja ta stanowi poważną siłę twórczą, siłę budującą, że w dziele przebudowy Rzeczypospolitej Rząd na siły te liczy.

A im gruntowniejsza jest przebudowa — tem bardziej są potrzebne twórcze siły społeczne. Mamy po temu pewnego rodzaju ilustrację zagranicą. Widzieliśmy, jak zwycięstwo lewicy w Hiszpanji zamiast uspokoić szerokie masy, podnieciło je do coraz gwałtowniejszych wystąpień. Obecnie obserwujemy podobne zjawisko we Francji. Zupełnie nie zdziwi nikogo, że sfery spekulanckie, widząc zwycięstwo socjalistów, przypuściły szturm do waluty francuskiej. Panikę wywołać wśród burżuazji, kiedy do steru dochodzą zwolennicy uspołecznienia środków produkcji — łatwo. Panika taka może być nawet narzędziem wymuszenia, zastraszenia. Panika rozpędzona daje olbrzymie sposobności do gry. To wszystko rozumiemy. Trudniej jednak zrozumieć ów masowy ruch strajkowy, jaki ogarnął Francję, jak gdyby i robotnicy usiłowali utrudnić pracę swojemu rządowi. Siły licznego gabinetu z natury rzeczy będą musiały skierować się ku uspokojeniu wrzenia, będą pochłonięte nie przez planową pracę reformatorską, ale przez załatwianie mnóstwa bieżących zaburzeń od wypadku do wypadku. A załatwianie to będzie tem trudniejsze, że kiedy każdy rząd mieszczański mógł być tylko obserwatorem walki strajkowej, rząd robotniczy będzie uważany przez „doły“ za naturalnego sprzymierzeńca.

ADUZ

posiada bystrość spostrzeżeń, sumienność w podawaniu obserwacyj, no i że pisząc właśnie teraz o kolonjach włoskich, wybrał sobie niezmiernie aktualny temat.

JERZY MARLICZ

PRZEGLĄD PRASY

„FILIP Z KONOPI". Już Brzozowski w *Legendzie Młodej Polski* oburzał się na poziom dyskusji w Polsce nad sprawami religijnemi. U nas istnieją tylko dwa typy dyskutowania nad zagadnieniami religijnemi: albo „wolnomyślna" nonszalancja, operująca argumentami wiecowemi, albo poczciwiutka, zdziecinniała parafjańszczyzna, nie mająca głębszego pojęcia o doktrynach religijnych, o przepaściach i szczytach życia religijnego, parafjańszczyzna, dla której religja przedstawia się w formie idyllicznego, spokojniutkiego, usypiającego poglądu na świat. Szczytem jej to sienkiewiczowskie, wygodne: „Wszystkie systemy filozoficzne mijaja jak cienie, a msza po staremu się odprawia". Są wyjątki ale one nie nadają tonu. Fakt, stwierdzony przez Brzozowskiego, rzuca specyficzne światło na umysłowość polską. Nie bez znaczenia dla jej charakterystyki jest również zadziwiający symptom: nie stworzyliśmy nigdy własnego życia religijnego (własnej formy religji) w obrębie katolicyzmu, nie wydaliśmy również ani jednego heretyka w wielkim stylu. O ile kultura polska jest wskutek tego uboższa (wydaje się, że główne wady kultury polskiej wynikają z braku „wielkiego" klasycyzmu i „wielkiego katolicyzmu") nie potrzeba dodawać. Nasz „swojski" np. psychologizm, tak bardzo powierzchowny, byłby inny, gdybyśmy byli przeszli przez „tresurę" psychologizmu religijnego. Ostatnio jaskrawym wyrazem parafjańszczyzny naszej był artykuł Adama Dobrzyńskiego p. t.: „O Mauriacu czyli niedobrym katoliku". Kryterja religijne, któremi autor operuje, jużby same wystarczyły, żeby zdyskwalifikować go jako dyskutanta („Mam mocne wątpliwości, jak wygląda obecnie życie pp. Dąbrowskiej i Nałkowskiej, dla mnie jednak „klimat" ich utworów jest katolicki. Nie był (moiem zdaniem) katolickim pisarzem Żeromski. Był nim Sienkiewicz, był nim Reymont. Waham się co do Kasprowicza. Nie jest nim Mauriac"). Przyczyny popularności Mauriaca dopatruje się autor w sprytnych machinacjach masonerji, która — według autora — gorszącego i niekatolickiego pisarza „reklamuje", żeby za pośrednictwem jego dzieł odrywać od katolicyzmu prawowiernych katolików. Na zakończenie wreszcie radzi autor Francji, żeby brała z nas przykład („wskazujmy jej sposoby, przy pomocy których pozostaliśmy, a nie bierzmy od niej wzorów, jak sie odchodzi" (od katolicyzmu: przyp. nasz). *(Prosto z mostu* nr. 17). Trudno dyskutować z autorem, który taką miarą mierzy zjawiska religijne. Można mu jednak w odpowiedzi wskazać artykuł w nr. 5 *Kultury*, gdzie inteligentnie pisze o katolicyzmie Mauriaca Marja Winowska. Z drugiej zaś strony trudno nie podkreślić faktu, że należałoby od pisarza, zajmującego się problematyką religijna raz wreszcie zacząć wymagać znajomości spraw, w których zabiera głos. Traktowanie spraw religijnych na poziomie szkółki niedzielnej już dość długo trwało.

ZNOWU „KULTURA". W nr. 2-gim tego pisma interesujący wywiad z Karolem Hubertem Rostworowskim, który wykazuje, na jakim poziomie powinno być pismo prowadzone, żeby odgrywać istotną rolę w kulturze współczesnej. W nr. 5 znakomity artykuł M. Winowskiej „Katolicyzm Mauriaca". Poza temi jednak wysoce interesującemi pracami, poziom o wiele niższy. Szczególnie źle przedstawia się dział: „twórczy". Birkenmajer, od którego roi się w piśmie, nie zastąpi Rostworowskiego, Kossak-Szczuckiej, Iłłakowiczówny. W publicystyce zadziwia brak najlepszych piór publicystycznych z obozu katolickiego (w szczególności piszących w *Verbum*). Czyżby *Kulturze* wystarczało, że zjawiają się w niej *także* świetne prace. Ambicja niezbyt wysoka.

PROBLEMY RASISTOWSKIE. W nr. 19 *Wiadomości Literackich* artykuł M. Choynowskiego, zdający sprawę z książki J. Huxleya, A. C. Haddona i A. M. Carr-Saundersa: „My Europejczycy". Artykuł ten ze względu na popularność problemu jest interesujący. Autor słusznie zwraca uwagę na to, że naukowo niezwykle trudno podać definicję rasy, albo też klasyfikację ścisłą ras. Wywody autora cechuje jednak pewien „abstrakcjonizm". Objawia się on także w tem, że odrzuca on całkowicie pojęcie rasy, ponieważ „nie pozwala ona w każdym konkretnym wypadku rozstrzygać przynależności rasowej". Autor dodaje lojalnie, że większość antropologów nie wątpi o rzeczywistem istnieniu ras. Wydaje się, że ta większość ma jednak większe poczucie rzeczywistości niż autor artykułu, który „wylewając wodę z wanny, wyrzuca także dziecko", jak mówi niemieckie przysłowie.

„NIEBIESKI PTAK". Wyszedł 1 nr. tygodnika literacko-społecznego pod takim tytułem. Redakcja w następujący sposób przedstawia program pisma: „Zadaniem naszem jest skupić w naszem gronie ludzi gardzących tanią, kupiecką reklamą, zakłamaniem, obłudą i krzywdzącą protekcją"... Wobec tego „stwarzamy nową jaczejkę, która wypowiada bezwzględną walkę wszystkim konkurencyjnym pismom dotychczasowych jaczejek". Oczywiście wszyscy ludzie kulturalni, którym leży na sercu przyszłość *Niebieskiego Ptaka*, powinni dbać, żeby w żadnym kulturalnym domu nie brakło tego Pisma (przez wielkie P). „Kupujcie zatem (możecie ewentualnie nie czytać — Redakcja), ale kupujcie i popierajcie ze wszystkich sił niebieskiego ptaka, a zdobędziecie przez to pełne zadowolenie moralne, a my moralne i materjalne". Trudno po takim apelu nie przyznać, że tytuł tego pisma „literacko-społecznego" jest niezwykle trafny. Prawdziwy „niebieski ptak".

ROZPAD RODZINY AMERYKAŃSKIEJ. W numerze 4 *Wiedzy i Życia* umieszcza St. Rychliński artykuł, przedstawiający zmiany w życiu społecznem Ameryki, które wpłynęły na rozluźnienie małżeństwa. Urbanizacja jak i zasadniczy liberalizm przyczyniły się do rozbicia amerykańskiego życia rodzinnego. Statystyczne dane, które podaje autor, są przygnębiające. „Oto np. w San Francisco (w r. 1925) na 1 rozwód przypada 3.4 małżeństwa, w Chicago (1931) — 3.3, w Detroit 3.9 (podczas gdy w dziesięciu powiatach wiejskich tego samego stanu, Michigan, aż 23.4"). Zwycięstwo t. zw. „Kultury miejskiej" wywołuje procesy zgubne dla życia rodzinnego, podczas gdy w ośrodkach wiejskich rozwija się ono o wiele normalniej. Cyfry te wykazują, że purytańska, cnotliwa Ameryka o wiele przewyższa pod tym względem nawet najliberalniejsze państwa europejskie. Poza tem wykazują także niebezpieczeństwo zbyt daleko posuniętego liberalizmu, który, wychodząc początkowo z założeń najszlachetniejszych: rozwiązania małżeństw, których współżycie jest absurdem, dochodzi często do jeszcze większego absurdu: niszczenia wszelkiego stałego współżycia rodzinnego. Przykład Ameryki powinien wykazać, jak łatwo puścić w ruch „maszynę" liberalizmu, jak trudno ją jednak utrzymać w granicach zdrowego rozsądku i społecznego pożytku, szczególnie w społeczeństwach niedojrzałych kulturalnie. Do wolności trzeba także dorość.

W. BĄK

*

NIEPODLEGŁOŚĆ

Ukazał się 35 zeszyt czasopisma *Niepodległość* (3-ci zeszyt XIII tomu). Żywy i urozmaicony jak zawsze dział artykułów, zawiera nietylko prace naukowe, lecz także ciekawe wspomnienia działaczy niepodległościowych. Otwiera go cenne studjum dr. Adama Próchnika p. t. „Źródła do historji epoki popowstaniowej", omawiające wszystkie polskie archiwa, zawierające materjały do historji Polski w epoce 1865—1918, i zarazem postulaty i możliwości zorganizowania naukowych prac historycznych na tematy z tą epoką związane.

Drugi artykuł, to dalszy ciąg „Wspomnień starego działacza" Józefa Nowickiego, równie interesujący jak poprzednie części, którego tematem są szczegóły przemycania broni z zagranicy przez Lwów do Królestwa w latach 1904—1906, oraz dokładny opis prac w jednem z pierwszych laboratorjów materjałów wybuchowych.

Wanda Kiedrzyńska w dalszym ciągu szczegółowego opracowania działalności Polskiego Skarbu Wojskowego analizuje organizację tej instytucji w terenie, różne sposoby uzyskiwania funduszów i rezultaty akcji skarbowej w ostatnich latach przedwojennych.

Franciszek Żurek w dalszym ciągu swej bardzo obszernej pracy p. t. „Powiat Krasnostawski w walce o wolność" opisuje prace Polskiej Organizacji Wojskowej w poszczególnych wsiach tego powiatu.

Kończą dział artykułów wspomnienia Janiny Olszamowskiej p. t. „Przeżycia matki", niezmiernie interesująco i wzruszająco opisane wojenne przejścia autorki, która porzuciła dom i wszystko, i poprzez fronty przedzierała się samotna, aby być blisko syna, legjonisty i późniejszego adjutanta Naczelnego Wodza, ś. p. rotmistrza Janusza Olszamowskiego.

W Miscellaneach znajdujemy urywek z pamiętnika dr. Emila Bobrowskiego, w którym jest mowa o działalności galicyjskiej P. P. S. D. i o stanie wyjątkowym w 1898 roku. Również przyczynek do dziejów P. P. S. podał w tym dziale Michał Pankiewicz, opisujący akcję bojówek P. P. S. w Grodnie w latach 1905—1907.

Kontynuując już stale publikację nieznanych dotąd listów Marszałka Piłsudskiego, redakcja zamieszcza dalszych 6 jego listów z lat 1895—96 (numery 24—29). Dwa pierwsze adresowane są do Związku Zagranicznego Socjalistów Polskich, następne zaś do: Wacława Podwińskiego, Aleksandra Sulkiewicza, Witolda Jodki i do Centralnego Komitetu Robotniczego P. P. S. na ręce Sulkiewicza. Podstawowy ten i niezmiernie cenny materjał do historji działalności Józefa Piłsudskiego w P. P. S. zawiera dane o przemycie bibuły, sprawach redakcyjnych, gospodarczych, czyli o tych sprawach, które są istotą i zasadniczą treścią działalności partji.

Zeszyt uzupełniają sprawozdania z ostatnich wydawnictw mających za temat najnowszą historję Polski i jak zwykle bardzo bogaty materjał ilustracyjny.

KRONIKA

W OBRONIE OGRÓDKA JORDANOWSKIEGO W WARSZAWIE

III-ci Ogródek Jordanowski jest zagrożony w swem istnieniu. Teren, przezeń zajmowany, ma być sprzedany pod budowę ambasady niemieckiej. Taką jest treść pogłoski, która od dni kilku elektryzuje i niepokoi nietylko stałych bywalców ogródka, — matki i dzieci — ale wywołuje słowa protestu i głębokiego żalu wśród ludzi, życzliwych idei Ogródków. Nie tak dawno wszakże rozlegały się głosy prasy, pełne entuzjazmu dla już istniejących i dla projektowanych na peryferjach stolicy nowych tego rodzaju objektów. Martwiono się znikomą ich ilością, przytaczano słowa Marszałka, przepojone serdeczną troską o tych, dla których zbyt często rynsztok i ulica od lat najmłodszych jest jedynem otoczeniem. O tem, czem są i jaką pozycję w dziedzinie wychowania zająć winny Ogródki Jordanowskie mówić chyba nic potrzeba — tem ostrzej tedy i boleśniej odczuwa się groźba utraty tak czarownej siedziby, jaką jest Ogródek przy ul. Wawelskiej. Jego stare, rozłożyste czereśnie, jabłonie i grusze rosną pośród dziecinnych zagonków i dalej wgłąb pola Mokotowskiego — obszerny czworobok potężnych kasztanów, otaczających basen z piaskiem, cieniste aleje, gnieżdżące wózeczki tych najmłodszych, trawniki i boiska — tak wygląda ten niepospolity zakątek. Ileż lat trzebaby czekać na taki ogród i jak trudno — jeśli to jest wogóle możliwe — stworzyć tę amosferę jakiejś zgoła wiejskiej swobody na terenie wielkiego miasta, a szczególnie tak słabo zadrzewionej dzielnicy, jaką jest Ochota. Ale nie to nawet jest najistotniejsze. Najistotniejszem jest bezpłodne szafowanie pracą, ofiarnością, sercem tych ludzi, którzy z całem oddaniem ogródek budowali, szafowanie pieniędzmi społecznemi, których zużyto niemało: usypanie górki do saneczkowania kosztowało tysiące — a przecież widzimy tam i pawilonik prowizoryczny i budynki gospodarcze, basen cementowy z piaskiem, przyrządy do gier i zabaw, wodociąg i t. d. Szły na to dary w naturze i dziesiątki tysięcy złotych, wydawanych oszczędnie z rzadką u nas konsekwencją i celowością — czyż ten tak trudno zdobywany grosz publiczny ma być zmarnowany, a tak kulturalna, potrzebna i udana placówka — zburzona — i to nawet, o ironjo! rozbiórka budynków byłaby przeprowadzona według umowy też za pieniądze Towarzystwa Przyjaciół Ogr. Jord.

Naprawdę, zbyt bolesne i zbyt niepedagogiczne w stosunku do społeczeństwa jest niweczenie najlepszych jego wysiłków, sprowadzanie ich do miary prac syzyfowych, rujnujących to, co się przed chwilą zbudowało.

K. MACISZEWSKA

OD REDAKCJI

W związku z artykułem o Kazimierzu Twardowskim (patrz numer 21-szy *Pionu*) Redakcja, na życzenie autora, przypomina tytułem dodatkowej informacji o pięknym artykule prof. J. Kleinera p. t. „Kazimierz Twardowski", ogłoszonym w zeszycie 3-cim, rocznika V-go *Przeglądu Humanistycznego* w r. 1930-ym. Przy tej sposobności prostujemy błąd drukarski, który się wkradł na nasze łamy: mianowicie, dniem urodzenia prof. T. jest 20-ty, nie zaś 2-gi października 1866 r.

Książki nadesłane do Redakcji

HISTORJA I TEORJA LITERATURY

DM. DONCOW: *Nasza doba i literatura*. Lwiw 1936. Nakładom „Wistnyka".

Udział twórczości katolickiej w dzisiejszej literaturze świata. Zbiorowy zarys monograficzny. Z niemieckiego przełożył Józef Birkenmajer. Tom I i II. Kraków 1935. Wydawnictwo Księży Jezuitów.

ZYGMUNT ŁEMPICKI: *Literatura, poezja, życie*. Warszawa 1936. Instytut Literacki. (Bibljoteka „Marchołta" Nr. 1).

KAZIMIERZ PIEKARSKI: *Fragmenty czterech nieznanych wydań „Marchołta"*. Kraków 1935. Towarzystwo Miłośników Książki.

HISTORJA SZTUKI

MICHAŁ WALICKI: *Nowe poglądy na rolę prądów mistycznych w sztuce*. Warszawa 1935.

PODRÓŻE

BRONISŁAW KRYSTYN WIERZEJSKI: *Forty na piasku*. Z 57 ilustracjami w tekście oraz 19 tablicami rotograwiurowemi. Warszawa (1936). Trzaska, Evert i Michalski.

HANNA SKARBEK - PERETJATKOWICZ: *Indje bez retuszu*. Warszawa 1936. Inst. Wydawn. „Bibljoteka Polska".

LEON BULOWSKI: *Kolonje dla Polski*. Warszawa 1932. Nakładem autora.

EKONOMJA, NAUKI SPOŁECZNE, PUBLICYSTYKA

KAZIMIERZ KIERSKI: *Zagadnienie emerytalne w Polsce*. Warszawa 1936. Stowarzyszenie Emerytów w Warszawie.

Oświadczenie protestacyjne towarzystw i organizacyj ruskich przeciw urzędowemu wprowadzeniu terminu „ukraiński" zamiast „ruski". Lwów 1936. Ruska Selańska Organizacja.

HELIODOR MANTHEY: *Zagadnienie zatrudnienia ca 100 tysięcy ludzi więcej w Polsce przez podniesienie spożycia cukru*. Toruń 1936. Nakładem autora.

DR. S. KASPRZAK: *Stosunek Czech do Polski (1914—1921)*. Warszawa 1936. Gebethner i Wolff.

ANTONI ANUSZ: *O dobrą społeczną wolę i panowanie prawa*. Warszawa 1935. „Nasza Księgarnia".

ROMAN BRANDSTAETTER: *Zmowa eunuchów*. Warszawa 1936. Wydawnictwo Ch. Brzozy.

EUGENJA WEBER: *Pisarz sowiecki*. Warszawa 1936.

Prof. Dr. EDWARD DUBANOWICZ: *Ku stałemu ustrojowi Państwa Polskiego*. Warszawa 1936. Tow. Wyd. Młodych Prawników i Ekonomistów.

HELENA WITKIEWICZ MOKRZYCKA: *Syndykalizm francuski i jego znaczenie społeczne*. Warszawa 1936.

Dr. TADEUSZ LECHOWICZ: *„Emerytalny światopogląd" na odcinku samorządu terytorjalnego*. Warszawa 1936. Skł. gł. D. K. P.

ADRJAN DIVÉKY: *Dziejowe wskazania polskiej i węgierskiej racji stanu*. Warszawa 1935. Odbitka z miesięcznika „Nasza Przyszłość".

Dr. ALEKSANDER WOJTECKI: *Zadania mocarstwowe Rzeczypospolitej Polskiej w świetle poglądów i czynów Marszałka Józefa Piłsudskiego*. Warszawa 1936. Komitet Propagandy Czynu Polskiego.

JÓZEF WASOWSKI: *Może chcecie poznać prawdę...* Warszawa 1936. „Echo Społeczne".

M. M.: *Z. S. S. R. Rzeczywistość*. Warszawa 1936. „Wschód".

ANTONIO FERRO: *Dyktator współczesnej Portugalji Salazar*. Przełożył i przypisami opatrzył dr. Edward Boyé. Warszawa 1936. Inst. Wydawn. „Bibljoteka Polska".

REDAKCJA: Warszawa, Al. Ujazdowskie 20, telefon 9.24-00; czynna w poniedziałki, środy i piątki od godziny 18 do 19. Rękopisów nadesłanych nie zwraca się. ADMINISTRACJA: Warszawa, Al. Ujazdowskie 20, tel. 9.91-08; czynna codziennie. Prenumerata w kraju: mies. 1.80 zł., kwart. 5 zł., ½-rocznie 9.50 zł., rocznie 18 zł.; zagranicą: mies. 2.50 zł., kwart. 7 zł. Blankiety rozrach. Nr. kartoteki 85. Ogłoszenia: za wiersz 1 mm. szer. 1 szpalty — 60 gr. za tekst.; 80 gr. w tekście. Zastrz. miejsca 25% drożej. Konto P. K. O. Nr. 18.590.

Redaktor naczelny: WŁODZIMIERZ ANTONIEWICZ — Wydawca: za Towarzystwo Kultury i Oświaty JAN KASIŃSKI

Drukarnia Współczesna, Sp. z o. o., Warszawa, Szpitalna 10.